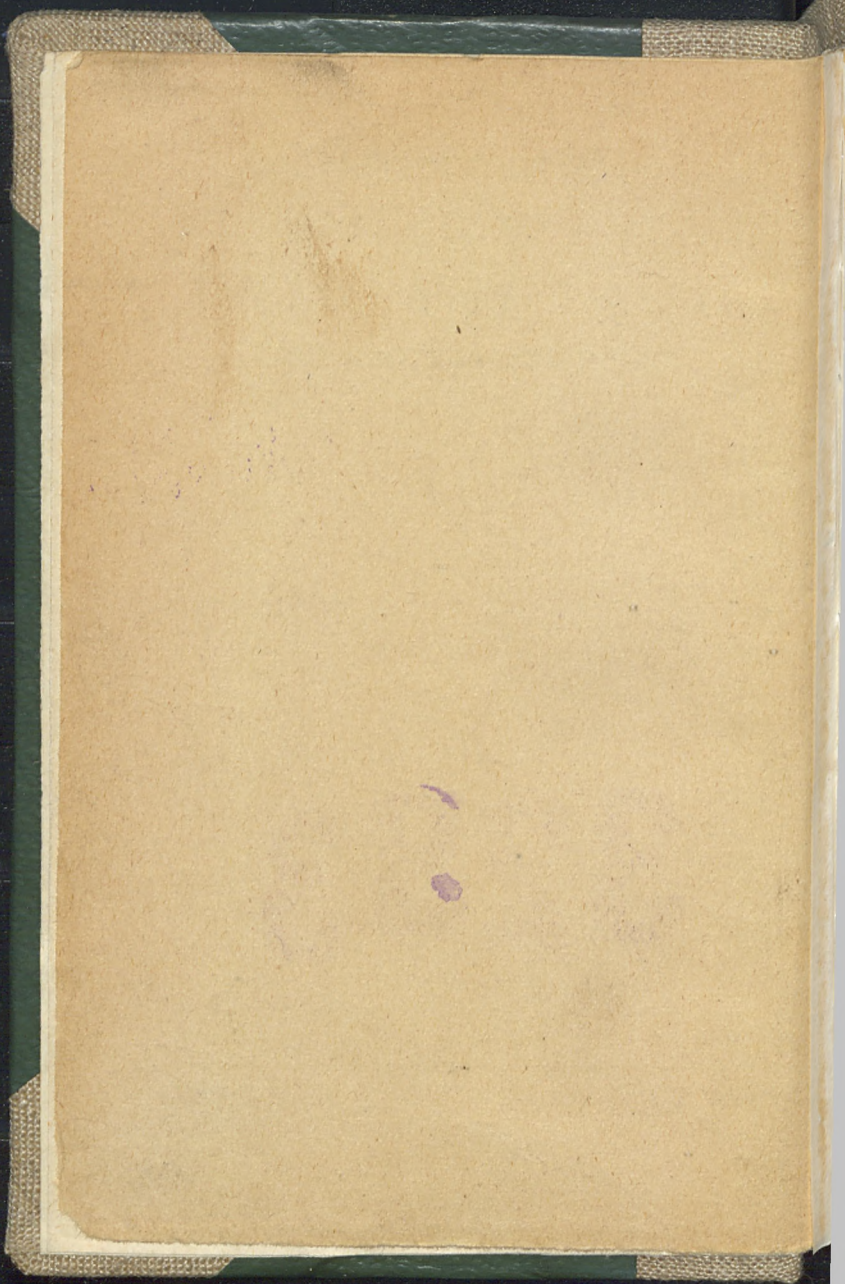


„POLONIA” Nr 3285.

141.561A. BŁAŻEJOWSKI



TAJEMNICA DOKTORA HIWI



A. BŁAZEJOWSKI  
TAJEMNICA  
DOKTORA HIWI

POWIEŚĆ

*J. Melancony*

I 541. 036 n

3283

POZNAŃ

---

WYDAWNICTWO POLSKIE

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001005062098



WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

—  
DRUKARNIA CONCORDIA

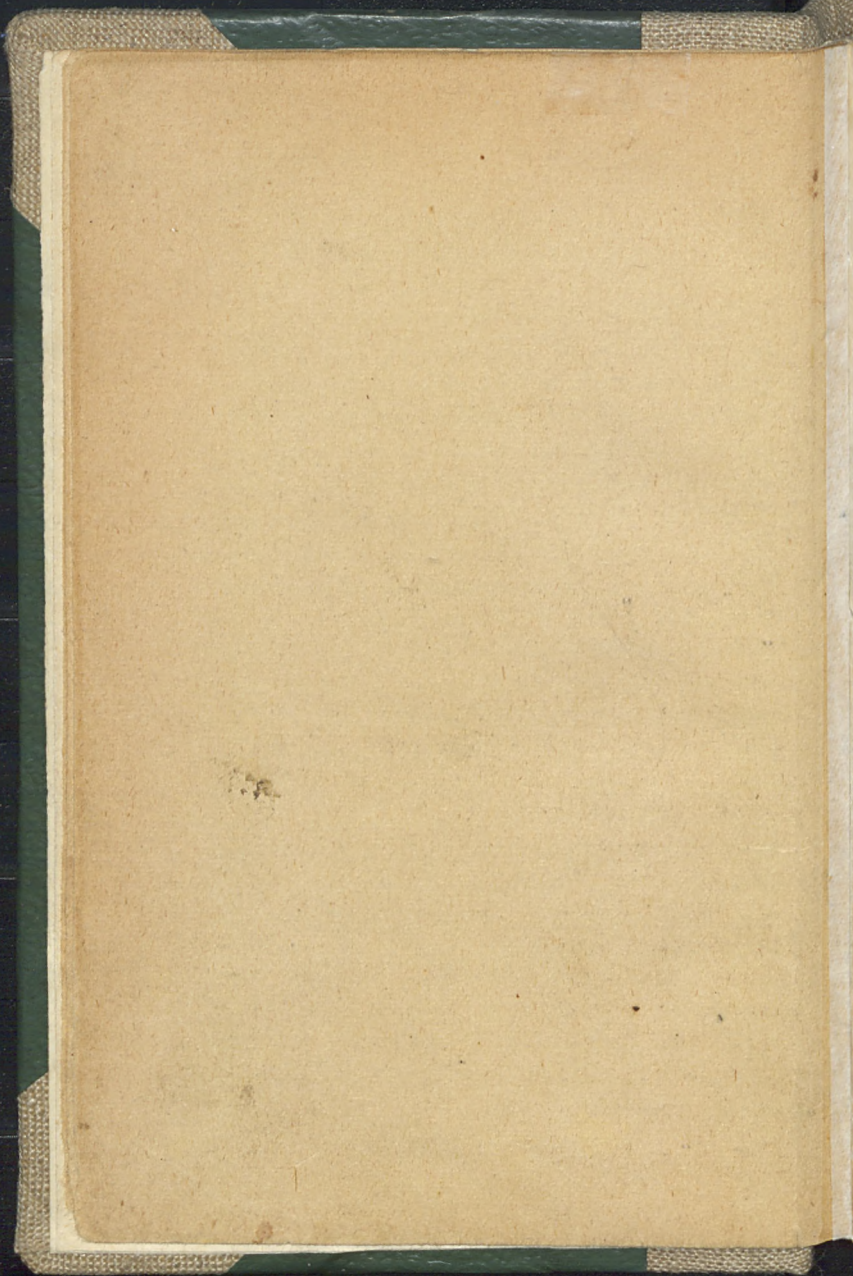
I. 141.561

1953 D. 615/38



## OBJASNIENIE.

Czytelnikom, którzy nie znają pierwszej części tej powieści p. t. „Walizka P. Z.“ podajemy krótką wiadomość o jej treści. W ustronnej willi berlińskiej na Grunewaldzie dokonano skrytobójczego morderstwa. Ofiarą mordu padł wśród niezwykle tajemniczych okoliczności tajny radca Teitelberg. Zginęła również wraz z trupem radcy walizka o tajemniczej zawartości, której zdobycie było głównym celem morderców. Walizka była własnością trustu P. Z., mającego na celu znieszczenie Polski zapomocą straszliwych śmiertelnych bakteryj. Okoliczności w jakich się to miało dokonać, daremne wysiłki policji w celu odzyskania walizki i wykrycia sprawcy morderstwa, paraliżowane nieustannie przez nieznaną, dobrze ukrytą rękę, nareszcie romans baronowej Teitelberg z rzekomym księciem rosyjskim Strogowem — utrzymują czytelnika w nieustannem napięciu, którego rozwiązanie przynosi dopiero „Tajemnica doktora Hiwi.“



I 1866

B u

u 1868

u

ROZDZIAŁ I.

NOWE ŻYCIE.

Baronowa Luiza Teitelberg przyzwyczała się już zupełnie do swego nowego mieszkania w hotelu Adlon. Mały apartament był zaciszny, meble sprawiały miłe dla oka wrażenie, a co najważniejsze, w tych dwóch małych pokoikach panowała atmosfera jakiegoś spokoju, nawet wesołości. Niechętnie też wracała myślą do willi na Grunewaldzie, w której zaskoczyła ją tragiczna śmierć męża. W ciągu ostatnich czterech tygodni była tam zaledwie dwa razy i za każdym razem odczuwała lęk i niepokój.

Johann i Lotti powiadomili ją już o drugim morderstwie w tym samym pokoju, w którym nie zakrzepły jeszcze ślady krwi jej męża. Doniesiono jej następnie o nieudalej zasadzce na zbrodniarza, który ciągle krążył nieuchwytnie koło willi i za wszelką cenę starał się dojść do tajemnicy zmarłego. Serdecznie żał jej było Blindowa, przez cały też czas jego niedyspozycji posyłała z zapytaniem o zdrowie detektywa

Ale wszystkie te tragiczne sprawy były jej prawie obojętne. Nie miała z nimi nic wspólnego i jakby musiała być tylko ich biernym świadkiem, — tyczyły się bowiem jej przeszłości... A baronowa Teitelberg wyciągała radośnie ręce ku przyszłości. Rozumiała doskonale, że zbyt wiele lat straciła w dusznej atmosferze dostatku, ale i chłodu. Długie lata musiała pustką życia wypełniać miłością do córki. Gdy Erika dorosła, stała się jej przyjaciółką. Nie miały przed sobą żadnych tajemnic. Zresztą cóż mogły mieć za tajemnice, żyjąc ciągle pod okiem człowieka, który niesłychanie dbał o najmniejsze pozory, a każdy, najdrobniejszy plan wyzwolenia unicestwiał jednym zmarszczeniem gęstych brwi, albo cierpką uwagą rzuconą jak syk przez grube, złośliwie zaciśnięte wargi.

Aż przyszła chwila, w której poznała księcia Strogowa.

Dziwny to był człowiek. Jeden jedyny może, który nie drżał przed potęgą finansową Geheimrata i lekcewał jego wpływy. Jak dziś pamięta ten dzień, w którym po raz pierwszy mąż ze zwykłą sobie brutalnością i lekceważeniem zaprosił księcia do ich domu.

— Więc przyjdzie pan do mnie na raut? — rzucił niedbale Geheimrat.

— Do pana nie, ale chętnie złożyłbym państwu swoje uszanowanie, — podkreślił spokoj-

nie Strogow i wytrzymał piorunujący wzrok astmatycznego olbrzyma.

Przyszeli. W czasie tej pierwszej wizyty wy-  
czuła, że Geheimrat, który potrafił terroryzo-  
wać nie tylko najbliższe otoczenie, ale i cały  
Berlin, czuł się dziwnie niepewnie i nieswojo  
wobec Strogowa. Było w tem coś niesamowitego.  
Niejednokrotnie starały się z córką rozwiązać  
tę zagadkę. Zawsze jednak bezskutecznie. A im  
bardziej Strogow lekcewał potentata giełdy,  
tembardziej ten stawał się wobec niego uprzej-  
my, nawet oblesny. Dopiero po wyjściu gościa,  
baron Teitelberg jakby się rozpręzał i wyprostow-  
ywał. Wtedy niejednokrotnie rzucał przez za-  
ciśnięte zęby:

— Dość mam już w swoim domu tego zu-  
chwalca! Nie chcę aby tu przychodził!

— Dlaczego otwarcie nie powiesz mu tego?  
— pytała spokojnie.

Wtedy mąż wymykał się z pokoju, ale nastę-  
pnego dnia, gdy Strogow zjawił się w ich domu,  
Geheimrat witał go z najbardziej wyszukaną  
uprzejmością.

Wtedy ona kierowała pytający wzrok n męża,  
— ten zaś opuszczał powieki, jakby pragnął  
uniknąć pytania.

Raz przy obiedzie, Erika ośmieliła się prosić  
ojca aby pozwolił jej i matce pójść na dobro-

czynny dancing do „Café Bauer.“ Teitelberg wybuchnął szalonym gniewem i brutalnie przeciął wszystkie plany:

— Nie poto mam córkę i żonę, aby rozmaita hołota w charlestonie podniecała swoje zmysły...

Erika, przerażona brutalnością umilkła, dopiero wieczorem, gdy przyszedł Strogow, zawiadomił krótko Geheimrata, że zabiera obie panie na dancing „Czerwonego Krzyża.“

— Doprawdy nie wiem jak księciu podziękować za tę miłą przysługę, — mówił Geheimrat układając gutaperkową twarz w grymas miłego uśmiechu. Żałuję, że i ja nie mogę korzystać z tej miłej rozrywki, ale zrozumie pan, tusza, astma i nawał interesów... — usprawiedliwiał się ściskając serdecznie dłoń Strogowa.

Po powrocie z dancingu bały się ostrych wyrzutów, ale Geheimrat unikał dyskusji na ten temat. Ta tajemnicza przewaga Strogowa nad mężem zbliżała ją coraz bardziej do młodego arystokraty. A Strogow nie tail się zupełnie z sympatją, a nawet uwielbieniem dla żony Geheimrata. Zdobywał ją powoli, ale konsekwentnie. Przyszła wreszcie chwila w której dobrowolnie padła w jego ramiona. Wtedy ośmieliła się zapytać go o przyczynę tajemniczej przewagi nad jej mężem.

— Ależ doprawdy zdaje ci się Luizo, baron jest zupełnie tak samo uprzejmy wobec mnie

jak wobec wszystkich innych ludzi... Nie widzę najmniejszej różnicy... — tłumaczył miękko.

A gdy chciała oponować, wtedy zamykał jej usta pocałunkami. Od tego pamiętnego wieczoru nie myślała już o tem. Zdawało się jej, że wyprowadzono ją z mrocznych pokojów na łąkę pełną słońca i kwiatów. Przymykała oczy i nadstawiała twarz, ręce, całe ciało na dobroczynne promienie słońca. A one całowały jej włosy i usta, wlewały w nią ciepło i spokój. I szła coraz bardziej upojona, lękając się czasem tylko, by słoneczna droga nie dobiegła końca i nie wprowadzono jej znów do ciemnych, mrocznych podziemi.

A baron Teitelberg w tym czasie zmuszony był coraz częściej wyjeżdżać do chorego brata do Augsburga, albo do swych fabryk w Nadrenji. Ale księcia jakoś nie cieszyły te wyjazdy. Jakby nie doceniał nieograniczonej swobody jaką uzyskiwał on i jego kochanka po wyjeździe potentata giełdy z Berlina. Strogow bywał wtedy zamysłony, dziwnie niespokojny, skracał coraz bardziej sam na sam ze swoją kochanką.

Nie rozumiała tego dziwnego zachowania. Z lękiem pytała o powód roztargnienia. Ale Strogow znów zamykał jej usta pocałunkami.

— Luizo, przysięgam, że kiedyś wszystko ci wytłumaczę. Wkrótce już przyjdzie ta szczęśliwa chwila, w której nie będę miał tajemnic przed tobą...

Znów zadowolili się tą odpowiedzią, bo po co miała choćby przez chwilę zatrzymywać się na słonecznej łące i rozmyślnie szukać kamieni wśród miękkich mchów. Szła oszołomiona z pełną wiarą, że on będzie uważał aby nie zgubiła ścieżki.

A Strogow był dobrym przewodnikiem; gdy widział niebezpieczeństwo umiał ją ostrzedz, lekko ujmował ją za ramię i przeprowadzał obok niebezpieczeństw. Tak bardzo była mu za to wdzięczna...

I dlatego nikt nie domyślał się, że jej dusza i serce opuściły już dawno wspaniałą wilę potentata giełdy, i szła za innym, który budował dla niej nowe życie.

Tylko Erika знаła tajemnicę matki. Przed nią jednak nie starała się baronowa ukryć swojej tajemnicy. Uważała, że w córce ma powiernika, tak koniecznego zawsze, dla przeżywania po raz drugi chwil szczęścia. Z wrodzoną sobie ciekawością słuchała Erika zwierzeń matki, a tylko czasem, gdy baronowa w przystępie nadmiaru szczęścia obsypywała jej twarz gradem pocałunków, wtedy zrywała się przerażona, bo pocałunki te były dla niej za silne, a usta matki za gorące i jakby parzyły jej skórę. Erika czuła,



widocznie, że pocałunki te nie do niej należą. Wybiegała wtedy do parku i długo błąkała się wśród starych modrzewi.

W tym bezmiarze swego szczęścia, po którym płynęła wśród ciszy bez steru, jak po rozleniwionych ciepłem, falach morskich, uczuła raz pani Luiza jakiś silny wstrząs i zgrzyt.

Było to w dzień, w którym Geheimrat Teitelberg wrócił z Nadrenji po kilkudniowej konferencji z rosyjskimi dostawcami surowca. Potentat giełdy był wtedy w wyjątkowo złym humorze. Najmniejszy drobiazg raził go i drażnił. W każdej najdrobniejszej rzeczy widział nieład i nieporządek. Dziwnie badawczo przypatrywał się wtedy żonie. Pod wpływem jego, złośliwych oczu czuła się nieswojo, bez potrzeby oblewała się rumieńcem, traciła coraz bardziej panowanie nad sobą.

A oczy Geheimrata z coraz większym uporem wpijały się w jej twarz. Wtedy chwycił ją dziwny spazm. Niespodzianie wybuchła płaczem. Teitelberg ani drgnął, po chwili dopiero na jego grubych wargach zjawił się zagadkowy, uśmiech. Przez zaciśnięte zęby wycedził z ironją:

— Mam wrażenie Luizo, że nam obojgu rosjanie grają na nerwach. Mnie dostawcy bolszewicy doprowadzają do pasji swoją niepunktualnością i niesfornością, a ciebie ich przeciwnicy swoją oglądą i wytwornością...

Słowa te podziały na nią jak uderzenie w głowę. Zdawało się jej, że leci w jakiś bezmiar zimnej, brudnej kałuży. Zerwała się i wybiegła z pokoju. W progu słyszała jeszcze wesół śmiech Geheimrata, przerywany krótkim, astmatycznym oddechem.

Zamknęła się w swoim buduarze. Godziny upływały jak wieczność. Nie wiedziała wtedy co ma począć. Ani jedna zbawcza myśl nie przychodziła na ratunek. Rozumiała doskonale, że słów męża nie może pozostawić bez odpowiedzi. Chciała telefonować do Strogowa pewna, że on znajdzie wyjście z sytuacji. Patrzyła z przerażeniem na pięknie emaljowane pudło telefonu, ale bała się dotknąć słuchawki, aby mąż nie podsłuchał rozmowy. Zbliżała się pora obiadu, a w głowie czuła ciągle próżnię, jakby wyjęto z niej mózg i sparaliżowano nerwy.

I w chwili tego strasznego lęku i bezwładu usłyszała lekkie pukanie do drzwi. Weszła Lotti trzymając na tacy list.

— Skąd ten list? — zapytała ogarnięta nagle złem przecuciem.

— Listonosz przyniósł pocztę, Johann zaniósł panu baronowi listy i dzienniki, a ja ten list przyniosłam pani.

Baronowa szybko rozdarła kopertę. List zawierał zaledwie kilka słów:

„Szanowna Pani Baronowo!

Jestem jednym z tych nielicznych, którzy znają stosunek, jaki łączy Panią z księciem Strogowem. Wiem jeszcze więcej, — znam miejsce, w którym spotyka się pani pod przybranem nazwiskiem ze swoim kochankiem. Każdej chwili mógłbym informacji tych udzielić Jej mężowi, który, nie wątpię, sownie wynagrodziłby mi tę przysługę. Jeśli nie czynię tego, to z dwóch powodów: najpierw nie obdarzam Geheimrata zbytnią sympatją, a potem wierzę w to, że nie mniej hojnie od męża opłaci Pani moją dyskrecję. Nie żądam wiele, bo skromną sumę 10.000 marek, którą proszę przesłać mi do trzech dni do urzędu pocztowego w Britz na poste-restante dla okaziciela pięciomarkowego banknotu Nr. 11845.

Nie wątpię, że ucieszy się Pani, mogąc ponieść tak drobną ofiarę na rzecz swojej miłości.

Serdecznie życzliwy.“

List wysunął się z jej zdętwiałych palców. Uczuła taki chłód, jakby ktoś w serce pompował jej zimną wodę.

Lotti podniosła list z ziemi. Wtedy pani Luiza resztką świadomości wyrwała z jej rąk ćwiartkę papieru, wsunęła do szuflady biurka. Po tym wyniku usunęła się bezwładnie na otomanę.

— Dziesięć tysięcy! Dziesięć tysięcy! —  
brzmiało jak rozkołysany dzwon ciągle w jej  
uszach.

Cyfra ta rysowała się coraz wyraźniej przed  
jej oczami, potem zaczęła wirować w jakimś od-  
męcie, przyskakiwała znów przed jej obolałe  
źrenice i nabierała potwornie wielkich kształtów  
i nagle padła na nią całym ciężarem. Straciła  
czucie.

Obudził ją silny zapach wody kolońskiej.  
Jakieś miękkie ręce rozcierały coś chłodnego na  
jej czole. Wolno zaczęła powracać przytomność,  
otworzyła oczy. Spostrzegła światło przyćmio-  
nej lampy. Był już wieczór. Na skraju łóżka  
obok niej siedziała Erika, nacierała jej skronie  
wodą kolońską.

— Jak można mamó tak się przejmować, —  
mówiła Erika z wyrzutem. Ojciec nie miał tak  
złych zamiarów... Teraz nawet żałuje, że tak  
boleśnie dotknął ciebie. Chce cię przeprosić.

Pani Luiza uśmiechnęła się blado. Widocznie  
Erika nie wiedziała nic o liście. Odetchnęła  
z ulgą, przypomniała sobie bowiem, że list scho-  
wała do skrytki.

Świadomość, że list nie dostał się w niepo-  
wołane ręce, uspokoiła ją znacznie. Gwałtownie  
próbowała zdać sobie sprawę ze sytuacji; — leży  
w łóżku w miękkiej pościeli, w głowie czuje szum,  
przed oczami snuje się lekka mgła, która od

czasu do czasu drga i porusza się to w jedną, to w drugą stronę wywołując niemiły zawrót głowy. Przymknęła powieki. Zawrót głowy na chwilę ustał, myśli jednak pracowały chaotycznie.

— Czy długo byłam bez przytomności? — spytała cicho.

— Długo, — potwierdziła Erika. Byłam tak zaniepokojona, że chciałam wezwać lekarza. Czasem otwierałaś powieki, patrzyłaś jednak na mnie zupełnie nieprzytomnie, potem szeptałaś jakieś oderwane słowa bez związku...

— Co mówiłam? — przerwała zaniepokojona.

— Kazałaś przywołać tu Strogowa. Potem mówiłaś o jakichś pieniądzach, które masz schowane w biurku, ale nikomu ich nie dasz. Majaczyłaś w gorączce. Zrozumiesz mateczko nasz niepokój... Ojciec był tutaj, głaskał cię po twarzy i błagał abyś się uspokoiła. Prawdopodobnie jednak nie wiele rozumiałaś z tego co mówił. Jak dobrze, że odzyskałaś przytomność.

— Dobra jesteś Eriko, — szepnęła gładząc z wdzięcznością włosy córki.

Erika nachyliła się, przytuliła twarz do rąk matki.

Nagle usłyszała dyskretne pukanie do drzwi. Wszedł jej mąż. Wyglądał jak winowajca. Chwilę błąkał się oczyma po pokoju, jakby uniikał jej. Erika wysunęła się z pokoju. Zostali sami.

Usiadł na krawędzi łóżka i z dziwnem onieśmieleniem patrzył w jej twarz, widocznie chciał powiedzieć kilka ciepłych słów, od których odwykł w ciągu ostatnich lat. Wreszcie ujął jej rękę w swoją olbrzymią dłoń.

— Przepraszam cię, Luizo, — powiedział cicho. — Nie przypuszczałem, że moja złośliwa uwaga tak bardzo dotknie ciebie. Sądziłem, że przyzwyczaiłaś się do moich nieoględnych, czasem nawet brutalnych słów. Wiesz przecież dobrze, że nie zawsze myślę tak, jak mówię. Mój ciężki zawód, gorączkowa praca, niejednokrotnie wytrącają mnie z równowagi. Przyjechałem z Nadrenji zmęczony, wyczerpany, a przedewszystkiem poirytowany niepowodzeniami w interesach. Rzuciłem słowo, które mogło zaboleć, ale przebac... Pamiętaj, że nie zawsze byłem tak opryskliwy jak teraz...

Podniósł jej rękę do ust. Potem mówił dalej — starając się swojemu głosowi nadać jaknajbardziej łagodne brzmienie:

— Nigdy nie posądzałem cię o zdradę. Byłoby to niegodne z mojej strony. Wiem, że jesteś dobrą, szlachetną żoną i tkliwą matką... Dlatego wybacz krzywdę, którą mimowoli ci wyrządziłem.

Drgnęła niespokojnie. Nie przeczuwała takiego obrotu sprawy. Słowa jej męża brzmiały jak pokryty ironją wyrzut. Otworzyła oczy, aby

spojrzeć mu w twarz. Chciała się upewnić, czy rzeczywiście o niczem nie wie, czy też rozmyślnie rzuca te słowa, aby przekonać, się jak na nią podziałają.

Ale na twarzy barona Teitelberga malowało się tylko zakłopotanie. Patrzył błagalnie w jej oczy.

— Czy przebaczasz mi?

— Przebaczam.

Pochylił się wtedy nad nią, dotknął grubemi wargami jej twarzy.

Ogarnęło ją uczucie wstrętu. Chciała się cofnąć, odepchnąć go od siebie. Opanowała się jednak szybko. Wiedziała, że chwilowe uczucie tkliwości i przyływ sentymentu u tego olbrzyma, może lada chwila przemienić się w straszny, nieobliczalny w skutkach gniew. Przymknęła powieki, zacięła nerwowo usta.

A on całował jej oczy, jej twarz, starał się sinemi jak wątroba ustami rozchylić jej usta. Jego zimne, wilgotne ręce zaczęły ślizgać się po jej ciele. Coraz silniej przyciskał ją do swojej piersi, w której grały urywane chrapliwe głosy. Pod wpływem wstrętu i lęku znieruchomiała zupełnie. Bezwładnie poddawała się pieścizotom. A on przygarniał ją coraz bardziej ku sobie, wpijał się palcami coraz chciwiej w jej ciało.

Nagle uściski zesłabły. Krew uderzyła mu do głowy. Na twarzy wystąpiły fioletowe plamy. Chwycił go paroksyzm astmatycznego kaszlu

Usta czyniły rozpaczliwy wysiłek aby chwycić powietrze. Z piersi wydobywało się coraz silniejsze rżenie, jakby się w płucach coś rwało i pękało. Rękami chwycił rozpaczliwie poręcz łóżka. Z ust zaczęła spływać na piersi cienka nitka lepkiej śliny, szczeka opadła bezwładnie.

Przeraziła się tego ataku kaszlu. Szybko wyskoczyła z łóżka, podała mu szklanę wody. Pił chciwie drobnymi łykami.

Wreszcie powietrze dostało się z trudem, jakby przez rurę mosiężną do jego płuc. Piersi pracowały z coraz większym wysiłkiem. Wreszcie wolno zaczął się uspakajać, z oczu zaczęły nikać krwawe refleksy. Twarz wracała do normalnej barwy. Uśmiechnął się boleśnie:

— Widzisz Luizo, — mówił, ocierając krople zimnego potu z czoła i twarzy, że moje piersi, i twoje nerwy nie są w porządku. Musimy obydwójce pomyśleć o sobie... Zbyt dużo czasu poświęciłem interesom, a zbyt mało myślałem o tobie i o sobie. Ale na szczęście czas jeszcze naprawić ten błąd. Wyjedziemy wkrótce z tego zimnego, rozmokłego Berlina. Ty pojedziesz gdzieś na słońce do Tunisu, ja w góry. Wrócimy jako inni, lepsi ludzie. Wtedy odżyją może wspomnienia Dortmundu, gdzie byliśmy szczęśliwi. Przecież nie zmieniliśmy się bardzo od tego czasu... Prawda, Luizo, że wrócą jeszcze czasy naszego szczęścia?



— Wróć, — odpowiedziała cicho, nie bardzo rozumiejąc co do niej mówi.

Wyciągnął znowu ręce ku niej, pożądlivym wzrokiem ogarniał ją całą.

Wymknęła się z jego objęć. Szybko ubrała jedwabny szlafroczek.

— Chora jestem, — prosiła cicho. — Zostaw mnie chwilę w spokoju. Po dzisiejszych przejściach muszę się trochę uspokoić. Każdy nerw drga we mnie jeszcze.

Wstał z krawędzi łóżka. Wyprostował swoją olbrzymią postać, ucałował jej ręce. Wreszcie wolno, jakby ociągając się, wyszedł z pokoju. W progu odwrócił się jeszcze i spytał z niepokojem:

— Luizo, wróci szczęście pod nasz dach?

— Wróci, — odpowiedziała bez przekonania i starała się uśmiechnąć.

Nie wróciło jednak. W dwa dni potem baron Teitelberg już nie żył.

Obrazy niedawnej przeszłości przebiegały tak wyraźnie, jak taśma filmu przed jej oczami. Wspomnienia te musiały wywołać dziwnie nie-miłe uczucie, bo wstrząsnęła się i otuliła szczelniej futrzaną peleryną.

Zapadał już zmrok. Kontury przedmiotów w pokoju zaczęły być coraz mniej wyraźne, jedynie jasny dywan na ziemi i złożone poręcze fotelików oświetlone były jeszcze światłem dnia.

Spojrzała na zegarek, była piąta, — o szóstej miał przyjść Strogow. Postanowili wykorzystać śnieg, który spadł obficie w mieście i wybrać się sankami na daleki spacer. Strogow od jednego ze znajomych miał wypożyczyć parę wspaniałych rysaków.

— Przypomną mi się czasy petersburgskich trójek i „lichaczy“, — mówił, zachęcając ją do jazdy. Popędzimy daleko wzdłuż kanału Spandawskiego w pola. Musimy znaleźć się w miejscu, gdzie niema ani kamienic, ani nawet ludzi. Tam wysiadzimy na chwilę, sami pod czarnym stropem wieczornego nieba, na którym błyszczą gwiazdy jak wspaniałe, złote gwoździe. Od czasu do czasu, mam taką chęć wyrwać się z miasta, z wypełnionej dymem sali klubu i zanurzyć się w przyrodzie. Takie sam na sam człowieka z Bogiem, to najwznioślejsza chwila życia! Ale ty, Luizo tego nie rozumiesz, jesteś człowiekiem zachodu...

Lubiła, gdy wpadał w trans swoich marzeń. Wtedy jego piękne oczy tkwiły zwykle nieruchomo na jakimś przedmiocie, jakby na nim jak na ekranie, widział te czarowne obrazy, o których szeptały jego wilgotne, nabrzmiące od jej pocałunków usta. Ale on szybko orjentował się, że go obserwuje. Wtedy milkł, a z siwych oczu schodziła mgła rozmarzenia.

— Proszę cię, nie obserwuj mnie jak sędzia śledczy, — prosił z uśmiechem i zaraz wracał do spraw bieżących, mówił o swoich i jej interesach, które starał się szybko uregulować, aby oboje mogli jaknajrychlej wyjechać z Berlina.

Światło dnia zgasło już zupełnie. Do pokoju wkradały się tylko refleksy latarni ulicznych i świetlnych reklam sklepowych. Wstała z otomany, aby zapalić światło gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi. Sądziła, że to Lotti, a możliwe, że Strogow przyspieszył czas wycieczki.

— Proszę wejść, — powiedziała zadowolona, że o tej wieczornej godzinie nie będzie osamotniona.

Drzwi otwarły się szeroko i w ciemnościach zobaczyła sylwetkę jakiegoś olbrzymiego człowieka, który tarasował sobą całe wejście. W ciszy usłyszała chrapliwy, przerywany oddech astmatyka. Olbrzym wcisnął się do pokoju. Przez jej mózg, jak oślepiająca błyskawica przeleciała myśl, że to jej mąż wstał z alabastrowej urny w kaplicy krematorjum, aby rzucić na nią przekleństwo. Przerażona zatoczyła się kilka kroków w tył, uderzając głową o ścianę. Przez zaciśnięte strachem gardło wyrwał się jej spazmatyczny krzyk.

— Jezus! To ty Adolf...

Rozległ się stłumiony, przerywany krótkim oddechem śmiech, który przypominał rżenie konia. Resztką przytomności nacisnęła taster lampy.

Z olbrzymiego pająka buchnął promień jasnego światła i zalał cały pokój.

W drzwiach stał uprzejmie uśmiechnięty baron Joe Teitelberg, brat zamordowanego.

Długą chwilę pani Luiza nie mogła ochłonąć z przestrawu. Obu rękami przyciskała skronie, o które uderzała krew, jak rozhukany młot.

— Nie przypuszczałem Luizo, że tak bardzo przerazisz się moją obecnością, — mówił gość starając się opanować zbyt szybki oddech. Przerażeniem swoim, sprawiłaś mi jednak przyjemność. Widzę, że bardzo muszę być podobny do Adolfa, jeśli rodzona żona, mogła mnie wziąć za zmarłego brata.

Wskazała mu krzesło. Usiadł ostrożnie, aby ciężarem olbrzymiego cielska nie rozgnieść złoczonego cacka.

— Przyjechałem na jeden dzień z Augsburga do Berlina aby załatwić kilka ważnych spraw. Możliwe nawet, że zmuszony będę zatrzymać się tu nieco dłużej. Adolf zmarł tak gwałtownie, że nie zdołał zlikwidować kilku niesłychanie ważnych spraw politycznych i społecznych. Dobrze przynajmniej, że w porządku pozostawił swoje stosunki rodzinne i majątkowe. Obawiam się teraz, czy ludzie, z którymi związany był interesami politycznymi, zdołają rozwikłać kilka ważnych zagadnień. Wezwano mnie do pomocy, ale niestety i ja nie we wszystko byłem wtaje-

mniczony. Doprawdy, dalsza zwłoka w likwidacji niektórych interesów brata może spowodować niesłychane komplikacje. Nie myśl jednak Luizo, że mówię o jakichś nieczystych interesach. Zmarły takich interesów nigdy nie prowadził...

— Ależ nie potrzebujesz mnie przekonywać — przerwała z uśmiechem, — Adolf i ty musieliście być ludźmi o kryształowych charakterach, jeśli obu was obdarzono w czasie wojny jako dostawców dla armji, tytułem baronowskim i zaszczytem „Geheimratów.“

Popatrzył na nią badawczo, nie mógł się zorientować, czy kpi czy mówi poważnie. Ale oczy pani Luizy spoczywały obojętnie na jego twarzy. Przyglądała się ciekawie małym oczom szwagra, olbrzymiej dolnej szczęce i podziw w niej budziło bliźniacze podobieństwo Joego do Adolfa. Joe był tylko jakby z grubszej ciosany bryły.

Chwilę kłopotliwego milczenia przerwał Geheimrat Teitelberg:

— Dziwię się bardzo Luizo, że mieszkasz jeszcze w hotelu Adlon. Sądziłem, że gdy tylko minie niemile wrażenie po śmierci mego brata i po morderstwie Haunera, sprowadzisz się z powrotem pod dach człowieka z którym żyłaś tyle lat i któremu winnaś tyle wdzięczności...

— Wdzięczności? — spytała szczerze zdziwiona.

— No tak, wdzięczności. Przecież w testamencie pamiętał o tobie, zostawił ci piękny majątek ziemski w Prusach Wschodnich, zostawił ci wartościową willę na Grunewaldzie... Czy za to wszystko nie należy mu się wdzięczność? A niestety słyszę, tak mi bowiem donosi Kanner do Augsburga, że szybko gaśnie w twojem sercu pamięć o zmarłym. Podobno ktoś inny przesłania ci wspomnienie tak dobrego męża jakim był Adolf...

— Przepraszam cię, — przerwała mu stanowczo. — W tem miejscu pragnę, aby nie było między nami niedomówień. Wiesz chyba dobrze, że dziesięć lat temu po śmierci mego ojca, mąż mój uzyskał bardzo poważną ilość franków szwajcarskich, które były podstawą jego majątku. Sądzę, że dwieście tysięcy franków, to suma o wiele wyższa, aniżeli wartość spadku...

— Widzę Luizo, że zaczynasz się zajmować interesami, o których przed tem nie miałaś pojęcia. Widocznie znalazłaś dobrego doradcę w sprawach majątkowych...

— Tak, znalazłam doradcę. Nie wiem czy jest dobry, ale wiem, że jest uczciwy. A to najważniejsze przy rozplątywaniu interesów z rodziną Teitelbergów...

Brwi Geheimrata ściągnęły się nad czołem, usta wykrzywiły się w złośliwym uśmiechu.

— Widocznie nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz. Twoje wyrzuty pod adresem naszej rodziny są chyba zupełnie bezpodstawne. Wybaczam ci jednak ironję, bo nieszczęścia, jakie w ostatnich tygodniach spadły na ciebie, mogły wywołać ten rozstrój nerwowy...

— Masz rację. Jestem zdenerwowana i nieszczęściem i nietaktem, jaki przed chwilą wobec mnie popełniłeś. Adolf nie wszczynał nigdy rozmowy na ten temat i za to doprawdy byłam mu wdzięczna... Sądzę, Joe, że i my zupełnie niepotrzebnie zesłiśmy na drażliwy temat. Ty wywołałeś tę dyskusję...

Twarz olbrzyma ułożyła się z powrotem w fałdy uprzejmego uśmiechu. Patrzył na końce swoich olbrzymich, jak łódzie, lakierów i starał się mówić z łagodną perswazją:

— Widzę Luizo, że po śmierci Adolfa masz zamiar odgraniczyć się od naszej rodziny. Oczywiście nie mogę mieć nic przeciw temu. Jesteś panią swej woli, materialnie niezależną od nikogo więc możesz kierować się kaprysami. Nie staram się nawet wpłynąć na ciebie, abyś zmieniła plany. Jeśli wszcząłem drażliwą dyskusję, to jedynie dlatego, że Adolf ma córkę, której jestem opiekunem. Zależy mi więc na tem z jaką opinią baronówna Erika Teitelberg wejdzie w świat. Pragnąłbym uniknąć tego, aby skutki nierozsądnych kroków matki zaciężyły na bratanicy...

Zagryzła wargi. Cios był dobrze rzucony, tak, że oszołomił ją na chwilę. Gorączkowo starała się zebrać myśli, aby uniknąć porażki. Joe Teitelberg z obojętną miną obserwował ciągle swoje olbrzymie lakiery...

Ale pani Luiza odzyskała szybko równowagę.

— Doprawdy zapomniałam, — mówiła już spokojnie, — jak wielki i ciężki obowiązek przyjąłeś dobrowolnie na siebie. Nie przeczę, że los Eriki musi cię interesować. Jak wiesz, córka moja bawi w tej chwili w majątku swoich przyjaciół, hrabiów Graebe von Bauernburg. Nie wątpię, że pod dachem tych ludzi czuje się przynajmniej tak dobrze, jakby czuła się wśród rodziny Teitelbergów. Wyjeżdżając z Berlina uproszę moich przyjaciół, aby nadal wzięli część opieki nad Eriką na swoje barki. Z pewnością nie odmówią mi tej wielkiej przysługi, bo na pogrzebie Adolfa, stary hr. Graebe von Bauernburg sam ofiarował się z pomocą. Uważam, że propozycję powinieneś przyjąć z entuzjazmem... Zresztą odrzucenie prośby tak wpływowego człowieka mogłoby być nawet niebezpieczne dla twoich interesów. Widzisz więc, że i ja myślałam o Ericie i równocześnie starałam się ulżyć tobie w ponoszeniu zbyt wielkich ciężarów opiekuna...

Wiadomość tę połknął Joe Teitelberg na pozór obojętnie, tylko w jego oczach migotały



jakieś złe błyski. Kontrola magnata Bauerburga, który miał olbrzymi wpływ w państwie, nie były zbyt na rękę Geheimrathowi. Starał się jednak ukryć swoje niezadowolenie.

— Rzeczywiście Luizo, jesteś niezwykle troskliwą matką i dobrą bratową. Dlatego też żałuję, że w tak ważnej chwili zamierzasz opuścić Berlin. Czy mogę przynajmniej zapytać się, dokąd wyjeżdżasz?

— Udaję się daleko na południe. Możliwe, że do Tunisu, jeszcze za życia Adolfa podróż ta była planowana ze względu na silnie rozwijającą się u mnie chorobę nerwową. Niestety tragiczna śmierć pokrzyżowała plany. Dziś, po uporządkowaniu swoich stosunków majątkowych, nie mam powodu do odraczania planów wyjazdu, tem więcej, że i lekarze nastają na mnie, abym niezwłocznie opuściła Berlin...

— Przypuszczam, że w tak daleką drogę nie wybierasz się sama. Byłoby to zbyt niebezpieczne dla chorej nerwowo kobiety...

Opuściła oczy zmieszana uwagą. Zrozumiała natychmiast do czego szwagier zmierza.

— Biorę z sobą Lotti... — powiedziała po chwili wahania.

— Sądzisz, że pomoc pokojówki będzie tak skuteczna?...

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo rozległo się ciche pukanie do drzwi. Baronowa Teitelberg

starła się ukryć twarz, na której rozlał się niedyskretny rumieniec. Joe Teitelberg patrzył badawczo na nią, nie mogąc zrozumieć powodu zmieszania.

— Proszę wejść! — rzuciła z udaną obojętnością.

Wszedł książę Strogow, otulony w ciepłe futro. Widocznie mróz i wiatr nie szczędziły jego smagłej twarzy, bo na gestych brwiach widniał srebrny pył szronu, kołnierz futra był zupełnie ścięty mrozem. Oczy Strogowa błyszczały zadowoleniem.

— Luizo są konie, — mówił podniecony radością. — Pogoda wspaniała, mróz zelżał...

Nagle urwał. Spostrzegł gościa. W oczach Strogowa zgasły wesołe iskry, brwi ściągnęły się nad czołem. Na twarzy odmalował się grymas niezadowolenia.

— Mój szwagier, baron Joe Teitelberg, — książę Strogow, — przedstawiła obu panów, zmieszana gospodyni.

Strogow złożył chłodny ukłon i obrzucił niechętnym spojrzeniem ociężałą postać Geheimrata.

— Widocznie pokrzyżowałem państwu jakieś plany, — usprawiedliwiał się baron Teitelberg.

— Tak jest, — przytaknął zanadto skwapliwie Strogow, nie starając się ukryć niechęci. — Planowaliśmy wycieczkę saniami wzdłuż kanału

Spandawskiego. Nie wątpię jednak, że pani baronowa nie da się odwieść od tej miłej przejażdżki, tembardziej, że dziś doprawdy jest wyjątkowa pogoda, jak rzadko w Berlinie.

— Niestety książę, doprawdy nie mogę dopełnić obietnicy. Baron Joe Teitelberg przyjechał z Augsburga i chce koniecznie pomówić kilka słów ze mną o interesach. Zatrzymuje się bardzo krótko w Berlinie. Ale nie wątpię, że książę zechce wypić z nami szklankę herbaty...

Prosiła go oczami aby został. Zrozumiał natychmiast. Wszedł do pokoju, zdjął kosztowne futro i zadzwonił na służącego.

— Proszę odprawić konie, — rozkazał Strogow. — Proszę powiedzieć, że dziś nie mogę wyjechać do Spandau. Hrabiego Witzingerode przeproszę osobiście za zawód...

Swoboda, z jaką książę poruszał się w apartamentach baronowej, onieśmieliła gościa z Augsburga. Geheimrat Teitelberg starał się być dowcipny. Opowiadał o swoich wrażeniach, jakie odnosi w Berlinie, zachwycił się przemysłem metalowym Augsburga, rzucał przestarzałe dowcipy polityczne, poczem niespodzianie zaczął mówić o tragicznej śmierci brata. W zachowaniu jego znać było, że stara się potopem słów pokryć swoje zmieszanie.

Strogow nie starał się ułatwić baronowi jego niemiłego położenia. Przeciwnie, milczał i pa-

trzał uporczywie w twarz niesympatycznego gościa. Gospodyni starała się ratować sytuację. Rozmowa biegła nerwowo, przeskakiwała z tematu na temat, potem milkła jak wbita w ziemię, by znów rozpocząć się jakoś nieśmiało i niezręcznie. Chwile milczenia były coraz dłuższe i bardziej kłopotliwe. Teitelberg jednak nie odchodził, widoczne było, że ma jeszcze coś do powiedzenia, tylko obecność Strogowa krępuje go i onieśmiela. Spojrzał wreszcie na zegarek.

— Wybacz Luizo, ale o godzinie ósmej umówiłem się w restauracji Karpynskiego. Kilku przyjaciół i interesantów będzie mnie tam oczekiwać. Zanim wyjdę, chciałbym prosić cię o jedną przysługę. Otóż nie wątpię, że Erika znakomicie czuje się u Bauernburgów, chciałbym jednak, aby przynajmniej na jeden dzień przyjechała do Berlina, jeśli możliwe nawet jutro... Obejmuję w jej imieniu, jako głównej spadkobierczyni, szereg niezwykle ciężkich i trudnych interesów. W kilku sprawach chciałbym zasięgnąć jej opinii, a ponadto konieczne jest aby podpisała kilka pełnomocnictw...

— Ależ owszem, uważam, że Erikę koniecznie trzeba sprowadzić do Berlina — zgodziła się pani Luiza. — Majątek Bauernburgów oddalony jest stąd zaledwie o sto pięćdziesiąt kilometrów. Dziś jeszcze szofer może wyjechać i jutro o go-

dzinie dziesiątej rano Erika może być na miejscu. Uważam jednak, że należałoby wpierw do niej zatelefonować, aby przygotowała się do drogi. Stąd, z hotelu Adlon, można otrzymać połączenie. Mam nawet wynotowany gdzieś numer telefonu Bauernburgów.

Teraz dopiero książę Strogow wmieszał się do rozmowy. Na twarzy jego przebijało się dziwne ożywienie.

— Uważam, pani baronowo, że wzywianie panny Eriki jest nieco przedwczesne. Młoda dziewczyna nie orjentuje się zupełnie w interesach, o których nawet pan Teitelberg mówi, że są trudne i skomplikowane... Córka pani może być więc tylko manekinem przy wyrażaniu swej zgody na jakiejś propozycje. Nie wątpię, że pan Geheimrat jest bardzo życzliwie usposobiony dla swej bratanicy i jako ustawowy opiekun będzie gorliwym obrońcą jej praw. Ale i opiekun w wielu wypadkach może omylić się... Twierdzę, że najlepiej byłoby przed zawezwaniem panny Eriki do Berlina wybrać zdolnego i uczciwego adwokata, który byłby doradcą i opiekuna i pupilki. W ten sposób można uniknąć wielu fałszywych kroków i niebezpiecznych konsekwencji...

— Niestety, książę, — przerwał baron Teitelberg, — jako opiekun nie mogę zgodzić się na niepotrzebny wydatek opłacania adwokata ber-

lińskiego, kiedy i ja sam jestem finansistą i to zdaje się nie głupim, a oprócz tego w Augsburgu mam swojego doradcę prawnego, człowieka niezwykle zdolnego, którego opinii w każdej chwili mogę zasięgnąć. Koszta honorarjum adwokata berlińskiego byłyby zbyt poważne i nie widzę najmniejszej potrzeby obciążania nimi spadku.

— Jeśli taki drobiazg, ma stanąć na przeszkodzie, — mówił Strogow, — to uważam, że pani baronowa, jako współopiekunka, podejmie się chętnie opłacenia adwokata, na przykład Blumwego, który słynie tu w Berlinie z uczciwości i wielkiej erudycji prawniczej.

— Ależ naturalnie, chętnie poniosę ten wydatek — przytakiwała skwapliwie baronowa Teitelberg.

— Jeśli tak, — mówił książę, — to jutro już udzieli pani pełnomocnictwa temu adwokatowi. Ma pani zupełne do tego prawo jako współopiekunka córki.

— Jeśli odpada kwestja honorarjum, — powiedział Geheimrat Teitelberg, — w którego małych oczach tliły się błyski gniewu, — to pozostaje kwestja mojego czasu. Rozumiesz chyba, że nie mogę wieki siedzieć w Berlinie. W Augsburgu oczekuje mnie szereg pilnych i ważnych spraw. Najpóźniej jutro wieczór muszę wracać do domu, nie jestem bowiem tak szczęśliwy, aby jedynym moim zajęciem było przesiadywanie w klubach arystokratycznych.

— Nie wątpię nawet, że w klubach pan nie bywa, — odciał spokojnie Strogow. Uważam jednak, że jako dobry opiekun powinien pan ofiarować swój czas bratanicy.

— Ależ szwagier napewno zrobi to ustępstwo, — wtrąciła gospodyni obawiając się aby dyskusja nie przeszła na zbyt ostre tory.

Baron Teitelberg i Strogow skrzyżowali spojrzenia. W oczach Geheimrata przebijała wściekłość i nienawiść, szare oczy księcia wyrażały zupełną obojętność.

— Książę zwykł siedzieć na dwóch krzesłach? — rzucił niespodzianie Geheimrat. — Interesuje się bowiem równocześnie interesami szwagrowej i bratanicy...

— Zwykle siedzę na jednym, ale z gwarancją, że go nie rozduszę nieociosaną figurą, — odpowiedział ostro Strogow.

Tymczasem Lotti przyniosła zastawę do herbaty. Niemile spięcie zostało zażegnane.

Baron Teitelberg udawał nawet dobry humor. Opowiadał na jaki wspaniały wynalazek wpadł on i brat jego w czasie wojny, gdy dostawa herbaty do Niemiec wskutek blokady Anglii i Ameryki została wstrzymana. Wszyscy pili namiastkę, nawet dwór panujący i zachwycali się zapachem i aromatem. Sam genialny Wilhelm chwalił nadzwyczajny smak nowego importu z Chin. Gdyby jednak wiedział, że her-

bata ta jest „made in Berlin“ z fabryki Teitelberga, byłby z pewnością wielkorządca Niemiec odsunął szklanę...

Tylko sam autor wybuchał co chwila śmiechem przy opowiadaniu tej zabawnej historii.

Nagle księżę spowaźniał, uczynił gwałtowny ruch ręką jakby prosił obecnych o chwilę spokoju. Umilkli nie wiedząc co to ma znaczyć. Chwilę trwała denerwująca cisza.

Z ulicy dochodził jakiś dziwny zgiełk i wołania chłopców reklamujących nadzwyczajne wydania pism berlińskich. W głosach kolporterów przebijała trwoga, — okrzyki ulicy były jakieś niesamowite. Wszyscy troje starali się pochwycić treść nawoływań Księżę Strogow przyblił i zerwał się z krzesła.

— Przepraszam państwa. Wyjdę na chwilę, aby kupić nadzwyczajny dodatek. Przypuszczam, że zdarzyło się jakieś wielkie nieszczęście.

Nikt nie odpowiedział. Patrzyli niemo na Strogowa, który cicho wysunął się do przedpokoju. Nastąpiła grobowa cisza. Nawet Lotti stała blada w kącie, jakby pod wpływem panicznego lęku.

Krzyk z ulicy stawał się coraz wyraźniejszy, zgiełk i gwar głosów ludzkich przybierał odgłos rozhukanej wody, która przerwała tamy. Szklanę, którą baron Teitelberg podniósł do ust drgała w jego olbrzymich rękach.



Po chwilach przygnębiającego oczekiwania, w których minuty zdawały się wiecznością, usłyszano szmer w przedpokoju. Książę Strogow stanął w progu. W ręce trzymał arkusz zadrukowanego papieru, na którym widniały olbrzymie, krzykliwe tytuły. Książę był blady, a przez jego spokojną zwykle twarz przebiegały nerwowe drgania.

— Co się stało? — spytała wylękniona gospodyni.

Strogow nie odpowiedział. Milcząco podał jej nadzwyczajny dodatek „Berliner Tageblattu“. Teitelberg zerwał się szybko z krzesła i stanął za plecami szwagrowej. Przebiegali oboje oczyma po zadrukowanym papierze.

„Berliner Tageblatt“ podawał pod nagłówkiem: „Wybuch tajemniczej zarazy w Berlinie“, szereg oderwanych wiadomości, które wiązały się z sobą w straszną całość. Znać było nerwową pracę redakcyjną, spowodowaną nieoczekiwanym wypadkiem. Gazeta donosiła:

„Przed miesiącem zachorował przy Hohenzollndamm rzemieślnik, niejaki Kurt Sellner, wśród objawów zatrucia. Przy ogólnem wyczerpaniu organizmu, przewieziono chorego do szpitala św. Gertrudy przy Moelkenstrasse. Ddiagnoza chorego nie ustaliła ani przyczyn, ani nazwy choroby. Tymczasem

Sellner tracił coraz bardziej wzrok i władzę w rękach i nogach, a po kilku dniach zupełnie ociemniał. Paraliż posuwał się dalej i objął nawet szczękę chorego. Sellner zmarł wśród strasznych męczarni głodu. W czasie choroby, wskutek niemożności djagnozy, przewieziono go do specjalnego oddziału w celu dokładnej obserwacji. Po kilku jednak dniach zachorowała wśród tych samych objawów siostra miłosierdzia Anna Benke. Teraz dopiero lekarze zrozumieli, że choroba Sellnera była epidemiczna. Chorą pielegniarkę umieszczono na oddziale zamkniętym. Po śmierci Sellnera przeprowadzona sekcja i analizy wykazały, że w kręgosłupie zmarłego i w mózgu znajdowały się mikroby w postaci pręcików, zbliżone wyglądem do „Lissu.“ Wśród tych samych objawów zmarła i Anna Benke. Tajemnicza choroba zdawała się być jednak wypadkiem odosobnionym, ponieważ w ciągu czterech tygodni nie spotkano się już z jej przejawami. Prasy nie uwiadomiono zupełnie o wypadku.

Dopiero wczoraj w południe dowiedzieliśmy się, że na berlińskiej klinice chirurgicznej od tygodnia zauważono już dalsze wypadki tej choroby. W karygodny sposób władze kliniki utrzymywały wiadomość tę w tajemnicy. Epidemja na klinice rozszerzała się przez

sześć dni z zastraszającą szybkością, obecnie ogarnęła prawie wszystkich chorych i personel szpitalny. Dziś w klinice chirurgicznej przeszło dwieście osób objętych jest epidemją“.

\* \* \*

„W tej chwili dowiadujemy się, że tajemniczej chorobie uległ znany i zasłużony bakterjolog profesor dr. Ude, który przez kilka dni pracował w klinice chirurgicznej, chcąc zbadać przyczynę epidemji. Dr. Ude leży w swoim prywatnym mieszkaniu i stracił władzę w członkach. Przy łożu chorego profesora czuwają największe powagi lekarskie...“

Donoszą nam, że w Lichtenberg zanotowano kilka wypadków tej samej epidemji. Przeprowadzone dochodzenia ustaliły, że chorzy z tej dzielnicy odwiedzali w ostatnich dniach swoich krewnych na klinice chirurgicznej. Widocznie więc ulegli infekcji.“

\* \* \*

„Godzina 20-ta min. 15 zanotowano dotychczas trzysta czterdzieści dwa wypadków zasłabnięć w mieście. W miarę jednak składania naszego dodatku nadzwyczajnego, zgłaszają do nas telefonicznie coraz większą ilość zasłabnięć. Można przypuścić, że epidemja wybuchła nagminnie. Z polecenia władz otoczono klinikę chirurgiczną kordonem Reichs-

wehry, tak, że wszelka komunikacja z tem źródłem zarazy jest na szczęście uniemożliwiona. Na dworcach kolejowych i na rogatkach pełni służbę „Schupo“, która nie dozwala wjazdu obcym do miasta.

O godzinie 16-tej wydano polecenie, aby pociągi osobowe przeprowadzać przez boczne tory i nie zatrzymywać ich na dworcach berlińskich. Wśród przyjeżdżających do Berlina wybuchła panika i dzieją się nieopisane sceny. Ludzi stale zamieszkałych w Berlinie nie chcą władze bezpieczeństwa z dworca kolejowego wpuszczać do miasta. Taką ostrożność uważamy za zbyt przesadną, tembardziej, jeśli uwzględnimy z jaką nieoględnością działały nasze władze zdrowia w ciągu ostatnich tygodni, dopuszczając do niesłychanego rozrostu epidemji.“

\* \* \*

„Donoszą nam z miasta, że profesor dr. Ude zmarł wśród objawów szalu.“

\* \* \*

„W tej chwili wyszło zarządzenie władz wojskowych ewakuowania budynku koszar b. dragonów gwardji cesarskiej. Automobile szpitalne mają tam przewieźć chorych z miasta. Władze sanitarne rozlepiają po mieście wskazówki dla ludności miasta Berlina...“

\* \* \*

„Dowiadujemy się, że z lotniska w Paryżu wystartował dziś aeroplan sanitarny z Instytutu Pasteura, który lada godzina przybędzie do nas wraz z kilku uczonymi francuskimi i z serum leczniczym.“

\* \* \*

„W redakcji naszej utrzymywane są stałe dyżury, tak, że co godzinę wydawać będziemy komunikat o stanie epidemji.“

\* \* \*

Zadrukowany arkusz wypadł z rąk baronowej. Geheimrat błdził nieprzytomnym wzrokiem po pokoju, jego czerwona zwykle twarz była teraz żółta, jak brudna, nieforemna gąbka. Z pobladych ust baronowej padło trwożliwe pytanie:

— Co to wszystko znaczy?

Księżę Strogow zaśmiał się jakimś nieswoim śmiechem.

— Może pan Geheimrat nam to wytłumaczy... — odpowiedział, walcząc ze spazmatycznie zaciśniętą krtanią.

A baron Joe Teitelberg drżał na całym ciele, z czoła jego sływały na twarz lśniące, cienkie nitki potu.

## ROZDZIAŁ II.

### POLA ŚMIERCI.

Berlin zamierał.

Ulice miasta przypominały kamienne łożysko wysychającej rzeki, z którego wylaniają się pokryte szlamem gałęzie i pnie, wznosząc się ku niebu jak wyschłe ręce ludzkie na rozwalonym cmentarzysku. Na napęczniałych dawniej życiem arterjach panowała teraz złowroga cisza. Rządcy przechodnie biegli szybko, jakby zaleknieni stukiem własnych podszew o asfaltowe płyty. Niektórzy z nich szli macając laską przed sobą. Wymijano ich bojaźliwie, bo do ich mózgu wkradł się już przekłęty bakcył zarazy, i spiesznie wysysał z nich życie. Twarze ludzkie ożywiały się jedynie na dźwięk trąbki automobilowej.

Znano dobrze ten sygnał. Na jego dźwięk pobladłe usta szeptały z obłądnym strachem: „Zum Totenfeld!“ — na pole śmierci!

W Charlottenburgu ustawiono na polach żółte, ciągnące się jakby w nieskończoność baraki,

z których wyjścia broniły gęste patrole wojskowe. Jeden krok poza druty kolczaste karany był kulą. Stamtąd nie było już wyjścia, chyba w pola, gdzie znaczyły się nieskończone rzędy małych, obmokłych w śniegu i deszczu krzyży.

Karetki sanitarne przecinały jak czarne trumny ulice Berlina, wrywając z domów coraz to nowe ofiary ludzkie, aby nieść je tam na pole śmierci Charlottenburga.

— Bóg przeklął miasto! — szeptano z obłądnym strachem w oczach.

A we wnętrzach domów przez okna podawano sobie wiadomość, że w barakach śmierci lekarze dzień i noc pełnią służbę, ślaniając się na nogach ze zmęczenia. Nie zdejmują oni zupełnie hełmów ochronnych i szczelnych gumowych płaszczy. Opowiadano, że pachołcy hakami ciągną ciała zmarłych do wspólnego grobu. Podawano sobie z ust do ust wiadomość, że wczoraj tłum oślepych szaleńców przerwał kordon wojskowy i z wyciem radości szedł w kierunku miasta. Dopiero patrole „Schupo“ ogniem karabinów maszynowych zlikwidowały ten złowieszczy pochód ludzki, który chciał roznieść zarazę.

Ktoś, kto uciekał przed myślą o śmierci rzucał w tłum wystraszonych wiadomość, że jeden z japońskich lekarzy wynalazł środek, który w ciągu kilku dni potrafi stłumić epidemję. Ma to być „Caisit“, który wstrzyknięty w żyły czło-

wieka pożera pręciki choroby. Wiadomość o wynalazku „Caisitu“ przebiegała jak płomień z domu do domu, zapalając nadzieję. Opowiadano, że oddziały sanitarne, które rano prowiantują ulice, wmieszały już do chleba i mleka zbawczy preparat, i że ludzie, którzy stoją przed progiem śmierci powracają już do życia.

Ale po kilku dniach, gdy fala zarazy ze zdwojoną siłą i złośliwością uderzała znów w bramy domów i mieszkań ludzkich, — milkły pogłoski o „Caisicie“, aby po kilku godzinach przedrzeć się w wiadomość o innym zbawczym wynalazku.

Rozszerzone przedśmiertnym strachem oczy szukały kruchej deski ratunku...

Ale płomyk nadzieji pełgał krótko i gasł. Epidemja przedostała się przez kordony sanitarne i wojskowe i zaczęła swym ohydnyim językiem lizać miasteczka położone koło Berlina. Eberwald zagrożony był już zarazą...

Pisma zagraniczne, podając mrożące krew w żyłach opisy strasznej epidemji, przestały już nazywać Berlin miastem śmierci, — nazywano już Niemcy krajem śmierci.

W obawie przed pochodem epidemji odgraniczyły się państwa sąsiednie pasem ochronnym. Przedostanie się przez pas było niemożliwością. Tylko w imię międzynarodowej solidarności, wysyłano ekspedycje sanitarne do Niemiec, na



ezele których stali sławni lekarze i bakterjodrzy. Telegramy zapowiedziały nawet przyjazd sanitarnej misji z za oceanu.

Misje pełniły bohatersko swe prace, ale niestety wyniki były nikłe. Kilka razy dziennie radjotelegamy donosiły, że epidemja nie słabnie w sile i zaciekłości. Czasem statystyka ofiar była mniejsza, ale trwało to krótko. Na drugi już dzień liczba zasłabnięć i śmierci, o których donosiła berlińska radjostacja, wzmagaly się wielokrotnie.

Przebąkiwano coś w prasie zagranicznej, że Niemcy jak skorpjon same sobie zadały śmiertelny cios. „Petit Parisien“ ogłosił sensacyjną wiadomość, że z olbrzymich fabryk chemicznych w Luckenwalde pod Berlinem przewożono w zbiornikach gaz trujący, przeznaczony dla celów wojennych, który z powodu nieprzewidzianego wypadku, wydostał się z mosiężnych retort, siejąc śmierć i zniszczenie. Ciężki gaz miał się rozejść na wielkiej przestrzeni, wniknąć do mieszkań ludzkich i niszczyć powoli wszystkie żyjące organizmy. Dziennik paryski podawał dalej wiadomość, że Niemcy nie znają środka przeciwdziałającego tej strasznej broni, którą same wyprodukowały. Rząd zaś berliński, chcąc uniknąć odpowiedzialności, rozszerza wiadomość o wybuchu epidemji.

Sensacyjne informacje „Petit Parisien“ przedrukowały inne dzienniki zagraniczne, podkreślając, że już drugi raz ludność niemiecka pada ofiarą zbrodniczego militarizmu.

A Berlin o wieczornej godzinie wyglądał rzeczywiście jak miasto, nad którym unosi się śmiertcionośna mgła. Na opustoszałych ulicach zapalano wieczorem olbrzymie piece, z których wydostawał się żółty, duszący gaz. Palono siarkę, aby niszczyć zarazki chorobotwórcze w powietrzu.

Jedynie w olbrzymim gmachu hotelu Adlon pulsowało jeszcze jakieś życie. Tam rozlokowały się wszystkie zagraniczne misje sanitarne. Na murach tego olbrzymiego hotelu rozlepiano biuletyny, wewnątrz rozmawiano przez aparaty Hughesa i mikrofony ze światem naukowym zagranicy. Jeśli jakaś pomoc miała się zjawić, to tylko z tego budynku, który do niedawna rozbrzmiewał wesołą muzyką, a dziś stanowił twierdzę obronną przeciw pochodowi zarazy.

Obok pokoju baronowej Teitelberg zamieszkał doktor Hiwi.

Pani Luiza poznała go niedawno. Widziała, że z uczonym rozmawiał w hallu książę Strogow, zbliżyła się do nich i Strogow przedstawił jej lekarza japońskiego. Był to mały człowiek, którego lat nie można było w żaden sposób określić. Duże, mądre oczy przesłaniały ciemne

szkła, na wąskich wargach strzępiły się rzadkie wasy. Dr. Hiwi spędził większą część swego życia w Europie w laboratorjach chemicznych. Gdy pytano go o Paryż, to znał z niego jedynie Instytut Pasteurowski i pracownie bakterjologiczne, zaledwie słyszał coś o operze czy lasku bułońskim. Londyn i inne centra kultury europejskiej znał tylko z ich laboratorjów i wedle tej skali oceniał kulturę narodów i miast. A opowiadał wszystko z uśmiechem nieśmiałości i zawstydzenia na ustach, że tak mało widział i wie.

Nieszczęście i trwoga skupiają ludzi, łączą ich węzłami solidarności. Nie dziw więc, że między baronową Teitelberg, Strogowem i lekarzem japońskim szybko zawiązały się nici przyjaźni. Dr. Hiwi był bardzo pożądanym doradcą w czasie epidemji. Z niezwykłą starannością pilnował, aby służba w pokojach baronowej rozpylała kilka razy dziennie jakiś płyn desynfekcyjny, przez niego spreparowany i aby jego przyjaciele stosowali zabiegi, które uodporniają organizm przeciw śmiertelnemu działaniu bakterji.

Jednego dnia baronowa skarżyła się na silny ból głowy i osłabienie. Dr. Hiwi był tak poważnie zaniepokojony jej stanem, jakby niebezpieczeństwo groziło komuś z jego najbliższych. Telefonicznie wezwał dwóch lekarzy i przy ich pomocy postawił djagnozę. Na szczę-

ście o objawach epidemji nie było mowy. Wypadki jednak ostatnich tygodni odbijały się coraz fatalniej na organizmie pani Luizy. Musiała kilka dni przeleżeć w łóżku.

Wieczorem, gdy dr. Hiwi wracał z baraków do hotelu, wstępował do apartamentów baronowej, gdzie spotykał już Strogowa. We trójkę siadali o wieczornej godzinie, omawiając projekty wyjazdu z Niemiec.

Dr. Hiwi doradzał swoim przyjaciółom, aby możliwie jaknajszybciej opuścili kraj zagrożony epidemją. Nie było to łatwe. Czechosłowacja, Belgja, Francja i Włochy wydały ostre zarządzenia, nie zezwalające na przyjazd z Niemiec na swoje terytorjum. Nawet posyłek pocztowych nie przyjmowano w obawie przedarcia się epidemji. Jedyna możliwość wyjazdu była tylko do Austrii i do Polski, gdzie obowiązywały tylko ostre przepisy kontumacyjne. Należało się jednak spieszyć, bo i te dwa państwa mogły zmienić zarządzenia.

Księżę Strogow obiecywał przez swoje wpływy w konsulacie polskim w Berlinie, wydostać paszporty. Baronowa Teitelberg była jednak ciągle niezdecydowana. Jednego dnia pod wpływem perswazji przyjaciół godziła się opuścić Berlin, na drugi jednak dzień cofała przyrzeczenie zasłaniając się koniecznością załatwienia niektórych jeszcze interesów. Decyzja jej była-

by się z pewnością przeciągała jeszcze kilka tygodni, gdyby nie list, który otrzymała od córki.

Erika donosiła, że Bauernburgowie opuszczają swój majątek i wyjeżdżają do krewnych do Wiednia. Równocześnie proponują jej by wyjechała z nimi. Erika nie chce jednak dać stanowczej odpowiedzi, dopóki nie porozumie się z matką.

Baronowa Teitelberg poleciła Strogowowi bezwzględnie telegrafować do Eriki, aby skorzystała ze sposobności i wyjechała z Niemiec, pod żadnym zaś pozorem aby nie starała się przedostać do Berlina.

List córki przełamał upór matki. Teraz sprawa wyjazdu była już poważnie omawiana. Lotti i Johann otrzymali od swej pani rozkaz zabezpieczenia mebli w willi na Grunewaldzie przed zniszczeniem, potem prowadzono długie narady nad koniecznością zabrania większych bagaży.

Strogow likwidował również spieszenie swoje interesy i starał się o rychłe wydostanie paszportów.

Myśl o wyjeździe wprawiała wszystkich w doskonały humor. Wieczorem, gdy dr. Hiwi odłożył swój mikroskop, a Strogow ukończył bieganie po mieście, zbierali się jak zawsze w apartamentach pani Luizy.

— Nie domyślasz się, kogo widziałem dziś w ministerstwie spraw zagranicznych, — powiedział Strogow.

— Rzeczywiście nie domyślam się, — odpowiedziała z uśmiechem.

— Widziałem Blindowa. Biedaczysko postarzał się, stracił dawną energję, wygląda jak cień.

— Rozmawiałeś z nim?

— Tak rozmawiałem. Opowiadał mi o swoich przeżyciach. Przed dziesięciu dniami stracił syna na „śmiertelnych polach.“ Nie dopuszczono nawet starego, aby pożegnał się z dzieckiem. Zmarłego pochowano w jakimś wspólnym grobie. Blindow żalił się przedemną i nie mógł opanować płaczu. Syna kochał bardzo, za rok miał on ukończyć wydział prawniczy. Córki i żona na kilka dni przed wybuchem epidemji wyjechały do Gdańska. Stary żąda, aby pozostały u krewnych, dopóki epidemja nie wygaśnie. Niestety samotność jego trwa zbyt długo i teraz Blindow chciałby wyjechać do wolnego miasta.

— Biedny człowiek, — powiedziała z współczuciem.

— Władze gdańskie, czynią jednak staremu trudności. Był w ministerstwie spraw zagranicznych prosić o poparcie. Na pewno nie odmówią mu. Ale zapomniałem, mówiąc o nie-

szczęściu Blindowa, powiedzieć ci o radosnej nowinie: jutro rano wydadzą mi paszporty. Jeśli zechcesz, wieczorem możemy już opuścić to przekłete miasto. Zbadalem dokładnie drogę, którą pojedziemy. Wybrałem teren wprawdzie niedogodny, ale najmniej zagrożony epidemją. Z Berlina wyjedziemy automobilem do Swinemünde, a stamtąd okrętem do Gdyni. Gdyby nie było okrętu pasażerskiego, to jak się dowiedziałem, codziennie idą stamtąd holowniki na polskie wybrzeże. Droga morska jest najbardziej bezpieczna. Jeśli wydostaniemy się szczęśliwie sto kilometrów po za Berlin, to gwarantuję, że cało i zdrowo znajdziemy się w Gdyni. Nie wątpię, że wiadomość o szybkim wyjeździe sprawi ci prawdziwą przyjemność...

Spojrzała na niego z wdzięcznością, potem utkwiała wzrok w twarzy japończyka. Strogow zrozumiał to spojrzenie.

— Ach rozumiem... żal ci, że doktor zostaje.

— Doprawdy, żal mi, — powiedziała z westchnieniem. — Był tak dobrym przyjacielem w czasie tylu ciężkich i strasznych dni...

Doktor Hiwi uśmiechnął się z zadowolenia.

— Nie przypuszczałem, że drobne moje starania wzbudzą aż tyle wdzięczności u pani. Ale i ja już wkrótce opuszczę to miasto. Kończę pracę. Nieszczęśliwym ofiarom epidemji dałem

co mogłem. Możliwe, że ostatni mój środek przyczyni się do przelamania nieszczęścia. Tak bardzo pragnąłbym wyrwać miasto ze szponów śmierci... Dość już bolesnych ofiar...

— Rzeczywiście, podziwiam, — mówiła baronowa, — niezwykłą procowitość kochanego profesora. Po nocach, przez cienką ścianę, słyszę jak pan pracuje aż do świtu... Doprawdy, dziwię się, że nie opada pan z sił. W nocy praca nad mikroskopami, w dzień praca w tych strasznych barakach w Charlottenburgu. Kiedy właściwie doktor odpoczywa?

Japończyk uśmiechnął się, na twarz jego wystąpił rumieniec zawstydzenia.

— Zbyt pochlebny jest pani sąd o mojej pracy. Praca jest jedyną moją przyjemnością. Chciałbym aby przyjemność ta mogła być rozłożona przynajmniej na trzydzieści godzin na dobę. Niestety, na taki wynalazek nikt nie wpadł i nie wpadnie. I ja odpoczywam. Po południu sypiam całe dwie godziny. To mi zupełnie wystarcza dla podtrzymania organizmu...

— Niemcy zaciągną wobec pana niespłacalny dług wdzięczności, — powiedział Strogow, — i nagle urwał, bo usłyszeli z daleka silny trzask, jakby przelatującej eskadry lotniczej.

Warkot motorów stawał się coraz głośniejszy, coraz bardziej przeraźliwy, uderzał grubym łoskotem w koryta opustoszałych ulic, odbijał



się w nich stokrotnem echem. Podbiegli do okna. Przez chwilę zdawało się, że gmach hotelu Adlon nie wytrzyma tego drgania powietrza i w proch się rozsypie. Szklanki na stole zaczęły kołysać się miarowo, wydając drżąco-trwożliwy brzęk.

— Na miłość Boską, co się dzieje? — spytała pani Luiza, przerażona do najwyższego stopnia.

— Eskadra lotnicza przelatuje nad miastem, — odpowiedział japończyk, siląc się podnieść głos, tak aby doszedł do uszu towarzyszy i podbiegł szybko do okna, bacznie obserwując ruchy aeroplanów, którym jaskrawe języki reflektorów wskazywały drogę.

W świetle reflektorów wojskowych coraz wyraźniej rysowały się błyszczące ciała „Junkersów,” które przelatywały tuż nad dachami domów, dotykając niemal kołami o wiązania dachów. Niektóre z nich posuwały się tak wolno, że zdawało się, iż stoją w powietrzu. Reflektory pracowały coraz intensywniej, oświetlając aeroplanom niebezpieczną podróż nad dachami.

Z „Junkersów“ sypano jakiś biały proszek, tak lekki, że wirował jak pył w powietrzu, lekko opadał na dół, potem podnosił się ku górze i w poświacie lamp ulicznych mienił się raz srebrną, to znów złotą barwą.

Japończyk stał i pilnie przypatrywał się zmudnej i niebezpiecznej pracy. Po kilku minutach rozsypany pył był już tak gęsty, że tworzył firankę mgły, która nieruchomo stała w powietrzu. Światło reflektorów coraz trudniej przedzierało się przez tę grubą zasłonę. Potem aeroplany zmieniły widocznie manewr, bo łoskot oddalał się coraz bardziej, jakby przechodził w inne dzielnice miasta.

Długo nie mogli opanować wrażenia. Pod wpływem huku brzmiał w ich uszach szum, w głowie czuli silny ucisk. Pierwsza opanowała się baronowa Teitelberg i bezpośrednio zaczęła krzyczeć wprost do ucha doktora Hiwi:

— Cóż to znów za manewry w tej smutnej chwili?

— Dlaczego pani podnosi głos? — spytał zdziwiony japończyk.

— Mam wrażenie, że ogłuchłam zupełnie, że bębenki popękały mi w uszach... To był eksperyment jakiegoś szaleńca... Założę się, że kilka aeroplanów nie wróci już do hangaru... W pierwszej chwili sądziłem, że to nieprzyjacielska eskadra chciała do reszty dokonać dzieła zniszczenia Berlina...

— Któżby się znącał nad chorem miastem... — przerwał łagodnie doktor Hiwi. — Czy słyszała pani, aby mordowano chorego, który bezsilny leży w łóżku? W czasie wojny czy-

tałem wprawdzie opisy, że Niemcy bombardowali szpitale, ale uważałem to za przesadę i potwarz. Nie wierzyłem nigdy w podobne niskie instynkta człowieka cywilizowanego...

Baronowa i Strogow wymienili znaczące spojrzenia. Nie mogli zorjentować się, czy lekarz japoński mówi poważnie, czy też rozmyślnie w tak delikatny sposób chce podkreślić fakt bombardowania szpitali polowych w Lille i Ypres przez armaty niemieckie. Ale z miny Japończyka nie można było nic wyczytać. Uśmiechnął się i mówił dalej z tą samą łagodnością:

— Taki eksperyment, który państwo przed chwilą oglądali, może być i niebezpieczny, ale co znaczy jeden, lub drugi zabity pilot, czy spalony dom, gdy chodzi o ratowanie od śmierci miliona ludzi? Eskadra rozpylała „Caisit.“

— Więc „Caisit“ rzeczywiście istnieje? — spytała zdziwiona.

— Istnieje. Szukałem go w czasie długich, bezsennej nocy. Czasem, gdy znużenie brało górę, ogarniało mnie zniechęcenie. Wtedy zdawało mi się, że mózg mój jest zbyt słaby dla przebicia tajemnicy strasznej epidemii, że preparatu, który byłby antidotum, nie zdołam nigdy stworzyć. Ale po bezsennej nocy, gdy wchodziłem do baraków w Charlottenburgu, gdy widziałem okropną śmierć głodową i sparali-

zowane członki tysięcy ofiar, wtedy odzyskiwałem energję i chęć do dalszych badań. Dziś twierdę, że japońskie przysłowie jest nieomylnem...

— Jakie przysłowie?

— Tłumacząc na wasz język, przysłowie to brzmi: „Miłosierdzie jest tak wielką bronią, — że przy jej uderzeniu pęka oręż szatana...“

— Ale o czem pan mówi? — spytała zdziwiona baronowa Teitelberg.

Doktór Hiwi umilkł, jakby zbyt daleko zapędził się w rozmowie. Przez czarne szkła polyskiwały jego małe błyszczące oczy, a na pobladłą twarz wystąpił gorączkowy rumieniec. Tylko na wąskich ustach japończyka błakał się wiecznie zagadkowy uśmiech. Zamiast odpowiedzieć na pytania, tłumaczył sposób walki z bakterjami tajemniczej choroby, która przez blisko miesiąc dusiła jak zmora olbrzymie miasto.

Z ust doktora Hiwi padały nazwy naukowe i związki chemiczne, których Strogow i baronowa nie rozumieli. Słuchali jednak z zapor-tym oddechem, zdając sobie sprawę z tego, jak wielki i potężny był wysiłek tego drobnego i niepozornego człowieka dla ratowania miljonów istnień ludzkich. Bezwiednie pochylili głowę przed uczonym.

— A może doktor wytłumaczy nam, dlaczego dopiero dziś rozpylono „Caisit“, jeśli od

kilku dni preparat ten dzięki panu był gotów w berlińskich zakładach chemicznych — spytała.

— Całkiem proste. Musieliśmy czekać na ciszę w powietrzu. Wiatr, albo opady atmosferyczne byłyby zniszczyły drogi preparat, dla którego produkcji niestety brak w Niemczech surowca. Dzisiaj w powietrzu panuje cisza, tak, że przekonany jestem, iż mgła, którą państwo widzicie, dotrwa do rana. Wystarczy zaś kilka godzin, aby „Caisit“ zniszczył bakcyle. Ale przestańmy mówić o „Caisicie“, pomówmy raczej o podróży państwa poza granice nieszczęśliwego kraju.

— Ależ doktorze, — przerwała nerwowo baronowa Teitelberg. — Pocóż mamy opuszczać Berlin, skoro wszystko jest na najlepszej drodze do usunięcia niebezpieczeństwa...

— A jeśli moje doświadczenia okażą się w praktyce mylne? — zapytał z powagą doktor Hiwi. — Musi pani liczyć się z tem, że między mikroskopem a życiem djametralne nieraz zachodzą różnice. Uważam, że jeśli macie paszporty, to ani jednego dnia nie powinniście zwlekać z wyjazdem...

— Luizo, ty nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak bardzo podupadłaś na zdrowiu — wtrącił zaniepokojony nagłą zmianą jej decyzji Strogow. W ostatnich dwóch miesiącach zmieniłaś się poważnie. Nieraz trudno mi doszukać w tobie

tej samej kobiety, pełnej życia, energii i pretensji, którą poznałem przed pół rokiem... Zmizerniałaś, przybladłaś, kilka tygodni w tych warunkach może doprowadzić twoje zdrowie do zupełnej ruiny...

Strogow uderzył w najczulszą stronę jej myśli i niepokoju. Zdawała sobie sprawę z tego że za dwa lata zacznie czterdziesty rok życia, wiek, który lubi odbierać kobiecie urok i blask jej młodości. A teraz właśnie chciała być młodą, gdy czuła, że kocha i jest kochaną. Gdy Lotti ondulowała jej włosy, pani Luiza patrzyła z niepokojem w lustro, rozmyślnie mrużyła powieki, aby przekonać się, czy się zmarszczek nie utrwała się koło jej oczu i czoła. Z niepokojem patrzyła na szyję, badając każdy fałd skóry. Na szczęście wygodne życie, zdala od trosk i kłopotów, odraczało niszczycielską pracę lat. W ostatnich jednak tygodniach ustawiczny lęk o zdrowie własne i ukochanego człowieka mogły przyspieszyć dzieło zniszczenia... Z trwogą spojrzała w oczy Strogowa, chciała w nich wyczytać odpowiedź na męczące ją ustawicznie pytanie, W oczach przyjaciela wyczytała jednak tyle miłości i przywiązania, że odcznęła z ulgą.

— Wyjedziemy jutro, — zgodziła się cicho.

Strogow chwycił jej ręce i wyciskał na nich gorące pocałunki. Doktor Hiwi odwrócił się

do okna, nie chcąc być świadkiem czulej sceny, potem spojrzął na zegarek: dochodziła dziesiąta, godzina, w której zwykle rozpoczynał już pracę w swoim zaimprovizowanym laboratorium hotelowem. Wstał z fotelu i chciał się pożegnać.

— Niech doktor zaczeka, wyjdziemy razem, — prosił Strogow.

— Jakto, nie zostaje pan u baronowej? Przecież nie jest jeszcze późno... — spytał zdziwiony japończyk.

— Nie mogę. Przygotowania do jutrzejszego wyjazdu pochłoną mi dużo czasu.

Gdy wyszli na korytarz hotelowy, pożegnali się długim, serdecznym uściskiem ręki.

— Do jutra, — rzucił z uśmiechem japończyk, znikając w drzwiach swego pokoju.

— Do jutra, — odpowiedział Strogow z wyraźną nutą wdzięczności w głosie.

Baronowa Teitelberg siedziała w fotelu nieruchomo. Przed jutrzejszą podróżą czuła dziwny lęk. Bała się wyjazdu do Polski, kraju, który знаła jedynie z opowiadania męża. W ustach Geheimrata, Polska nie przedstawiała się zachęcająco. Kraj, który skonfiskował fabryki należące do Eriki, państwo, w którym codziennie obowiązywały nowe przepisy i ustawy, zależnie od rządu, jaki chwilowo chwytal

ster władzy, przedstawiał się w jej myślach jako obszar zupełnego chaosu. Jako szwajcarka zamilowana w ładzie i porządku, bała się niespodzianek. Miała ich zresztą dość w ostatnich latach w Niemczech... Teraz żałowała, że pod wpływem chwilowej depresji tak szybko zgodziła się na wyjazd. Czy nie lepiej było namówić Strogowa, aby udał się do Wiednia, gdzie mogła złączyć się z Bauernburgami i córką? Wiedeń znała doskonale, był dla niej o wiele sympatyczniejszy od Berlina. Warszawy obawiała się panicznie. Pod wpływem samotności w rozgorączkowanych myślach pani Luizy państwo polskie przedstawiało się jej w coraz potworniejszych barwach.

— Jutro rano połączę się telefonicznie z Dymitrem i wpłynę na niego, aby jeszcze zmienił postanowienie, — myślała. Jeśli już koniecznie mamy uciekać z Berlina, wyjedziemy przynajmniej do Austrii, skąd łatwiej będzie można przedostać się na zachód.

Z przyjemnością myślała, że po opanowaniu epidemji w Niemczech, przepisy ochronne państw zachodnich muszą być cofnięte i wtedy wyjedzie z Dymitrem na Riwierę francuską. Przed oczami jej zaczęła grać tysiadcem iskier rozgrzana w słońcu tafla lazuruwego morza, białe, jakby wtłoczone w gąszcz zieleni luksusowe wille. W wyobraźni widziała już siebie



i Dymitra przytulonych razem do siebie na promenadzie angielskiej, a wieczorem na pięknym tarasie hotelu „Majestic“.

Myśli o jasnym brzegu rozmarzały ją coraz bardziej. Wsunęła się głębiej w fotel, uczuła miły przypływ ciepła i znużenie. Powoli zaczęła ją ogarniać senność. Nie zauważyła nawet, gdy pokojówka weszła do pokoju. Dopiero, gdy Lotti dotknęła lekko jej ręki, otworzyła powieki.

— Ach, jak dobrze, że jesteś, — mówiła pani Luiza, uśmiechając się sennie.

— Spóźniłam się proszę pani, — usprawiedliwiała się dziewczyna, ale doprawdy na ulicy trudno oddychać. Rozpylili w powietrzu jakiś biały proszek, który dławi i dusi gorzej od siarki, którą palili jeszcze wczoraj. Proszek wgryza się tak w oczy, że trudno patrzeć... Szofer twierdzi, że nawet reflektory automobilowe nie są w stanie przebić gęstej mgły. Jechaliśmy z Grunewaldu krok za krokiem. Ale proszę pani na Grunewaldzie wszystko spakowane, meble i obrazy pokryte są pokrowcami...

— Doskonale, jutro wyjeżdżamy...

— Pani baronowa wyjeżdża? — spytała dziewczyna z trwogą w głosie.

— Wyjeżdżam. Ale chyba i ty wyjedziesz ze mną... Przecież ciotka nie będzie cię zatrzymywała.

Dziewczyna smutnie zwiesiła głowę. W oczach jej błysły łzy.

— Zanim pani baronowa wyjedzie, chciałybym przyznać się przed panią do jednej sprawy... Napewno po tem przyznaniu pani nie zechce mnie wziąć ze sobą.

— Ależ, mów Lotti, — zachęcała ją pani Luiza, i zdziwiona była niezmiernie, że ręce dziewczyny, które zaczęły rozczesywać jej włosy drżą jakoś silnie.

Ręce Lotti drżały coraz bardziej, wreszcie grzebień wypadł z jej palców. Przesłoniła oczy i wybuchła płaczem.

— Lotti, co się z tobą dzieje? — spytała baronowa, coraz bardziej zdumiona dziwnem zachowaniem się pokojówki.

— Pani mnie wypędzi... — wykrztusiła wśród łez. Zanim jednak pani wyjedzie przysiągłem opowiedzieć wszystko... Wiem, że ciężko zawiniłam...

— Ależ na miłość Boską, powiedz wreszcie, o co chodzi?

— Pamięta pani, jeszcze tam na Grunewaldzie... Ten list — mówiła, zanosząc się od płaczu. Wtedy pani zemdlala i pan Geheimrat wszedł do pokoju... Było to na trzy dni przed jego śmiercią...

Baronowa Teitelberg zerwała się z fotela, przypomniała sobie ten dzień, w którym po-

dwójny cios w nią uderzył: pierwsza utarczka z mężem o Strogowa, a potem bezczelne żądanie pieniędzy.

— Pamiętam. Mów dalej, — rozkazała sucho.

— Ten list ja wysłałam...

— Lotti!!

— Tak ja, — powtórzyła szybko, chcąc jaknajprędzej zrzucić ciężar ze swego sumienia.

— Teraz, gdy pani wyjeżdża, powiem wszystko...

Ja wysłałam list, ja wiedziałam nawet, kto go pisał.

Pani Luiza opadła bezsilnie w fotel, twarz jej była tak blada, że zdawało się, iż kropla krwi nie krąży pod skórą. Rozszerzonymi z przerażenia źrenicami patrzyła w twarz dziewczyny.

— I ty byłaś zdolna popełnić taką podłość?

— Tak.

— Ty sama?

— Nie, byłam bezwolnem narzędziem w rękach złych ludzi... Dziś mi już wszystko jedno... Proszę mnie tylko wysłuchać, a potem zrobi pani ze mną, co zechce... Pan Hauner, ustawicznie prześladował mnie swoją miłością. mimo, iż miałam narzeczonego, Hauner podobał mi się bardzo... Wymykałam się z nim do kina i na zawody sportowe, w których brał udział... Państwa tak często nie było w domu... Pan Hauner wzywał mnie do swego pokoju i tam rozmawiał ze mną serdecznie, i tak

dziwnie, że w jego obecności traciłam głowę. Johann podejrywał nas jednak. Baliśmy się, że doniesie o wszystkim panu Geheimratowi. Ułożyliśmy się więc, że około godziny siódmej wieczorem, pan Hauner wyjdzie z biura i Johan otworzy mu drzwi. Potem ja schodziłam do gościnnych pokoi, odsuwałam z zasuwy okno i wpuszczałam z powrotem pana Haunera do pokoju. Tam spotykaliśmy się zawsze. Czasem rozstawaliśmy się dopiero nad ranem... Pan Hauner obiecywał, że się ze mną ożeni. Obydwoje jednak nie mieliśmy pieniędzy na urządzenie mieszkania. Jednego dnia Hauner wynajął u mojej ciotki mały pokój, w którym często sypiał, a częściej jeszcze bawił się i pił z kolegami. Gdy w niedzielę przychodziłam do ciotki na Stralau, coraz częściej zastawałam go w sklepie. Ustawicznie naradzał się nad czemś z ciotką. Jednej niedzieli otrzymałam od pani urlop na całą dobę, aż do poniedziałku rano. Wieczorem zastałam ich obydwójce w sklepie. Konferowali o czemś zawzięcie i zamilkli, gdy weszłam. Hauner był bardzo zdenerwowany i przygnębiony...

Urwała nagle, jakby zabrakło jej tchu do dalszego opowiadania. W pokoju zapanowała przygnębiająca cisza, przerywana tylko przyspieszonym oddechem obu kobiet.

— Mów dalej, — przerwała ciszę baronowa.

— Tego wieczoru wciągnął mnie Hauner do siebie do pokoju i zupełnie poważnie oświadczył mi, że wszystkie jego projekty małżeństwa obracają się w niwecz, bo nie otrzymał od swojej rodziny tych pieniędzy, które mu obiecano. Wiadomością tą byłam przybita. Nagle Hauner zmienił wobec mnie taktykę. Ze zgnębionego stał się nagle wesoly. Wreszcie oświadczył, że za jednym zamachem moglibyśmy rozplątać wszystkie trudności i za miesiąc wziąć ślub. Gdy zdziwiona, spytałam go, w jaki sposób wszystko tak nagle zmienić może, — odpowiedział mi z przykrym uśmiechem:

— „Powiedz mi, gdzie twoja pani schodzi się ze Strogowem?“ Nie podejrzewałam nic złego. Wymieniłam mieszkanie, które wynajął pan Strogow dla pani. Nagle Hauner wy dostał arkusz papieru i zaczął na nim kreślić jakiś list. Spytałam go, co to znaczy. Wy tłumaczył mi wszystko. Gdy chciałam wyrwać mu i zniszczyć ten nieszczęsny papier, wtedy odtrącił mnie z taką siłą, że potoczyłam się na ścianę. W tym momencie poznałam go dopiero dokładnie. Zrozumiałam, że Hauner jest szubrawcem. Ale byłam już bezbronna, bałam się, że lotr naszą tajemnicę zdradzi narzeczonemu. Nie mogłam się opierać. Od tej chwili stałam się ślepem narzędziem w jego rękach i rękach ciotki.

Lotti zamilkła, jakby mocowała się z sobą.

— I co dalej? — spytała stanowczym tonem pani Luiza.

— Potem ja własnoręcznie nadałam do pani list. Wiem, że Hauner podjął jakieś pieniądze i podzielił się z nimi z moją ciotką. W dwa dni po śmierci pana Geheimrata, Hauner próbował drugi list wysłać do pani za mojem pośrednictwem. Na szczęście policja przerwała mu tę pracę. Niedokończony jego list dostał się w ręce radcy Blindowa. Hauner uciekł tajemnym wyjściem przez sklep ciotki, a ja w obecności narzeczonego musiałam do końca odgrywać rolę, aby dedektyw nie połapał się, że jestem współniczką zbrodni i kochanką Haunera. A potem... Potem pani baronowa wie już wszystko. Ten łotr Hauner chciał ukraść pieniądze z kasy i przyplacił to życiem. Nasza tajemnica nie ukryła się tylko przed jednym człowiekiem...

— Przed kim? — spytała nerwowo baronowa.

— Przed panem Strogowem. Widocznie z niedokończonego listu Haunera dorozumiał się wszystkiego, gdyż rano tu w hotelu „Adlon“ zmusił mnie do wyznania całej prawdy. Powiedziała mu wszystko. Wiem, że pojechał niezwłocznie do Stralau i tam rozmawiał z ciotką...

Opowiadanie Lotti ogłuszyło zupełnie panią Luizę. Myśli tłukły się w jej głowie, jakby

przypuszczały atak na skronie. Podniosła ręce do rozpalonego czoła, aby uśmierzyć tętno.

Tymczasem Lotti stała w kącie i patrzyła z obłądnym strachem w oczy swojej pani. Ale pani Luiza nie zwracała uwagi na przerażoną dziewczynę. Przebiegała szybko pokój, nie mogąc nadążyć myślom. Cisza przedłużała się w nieskończoność. Wreszcie baronowa Teitelberg ocknęła się.

— Możesz odejść — rzuciła szorstko. —  
Jedź na Grunewald, a jutro wcześniej przyjdź tutaj. Powiem ci co postanowiłam...

Dziewczyna poruszyła się jak automat zgasiła żyrandol, zapaliła nocną lampkę i w poczuciu wielkiej winy ze schyloną głową wysunęła się z pokoju.

W samotności myśli baronowej zaczęły się układać w pewien porządek. Wyznanie dziewczyny wstrząsnęło nią głęboko. Jeśli prawda jest, — myślała, że Lotti oknem wpuszczała Haunera, to niewątpliwie tylko ten mógł być mordercą jej męża. Widocznie walizka, którą Adolf tak starannie przechowywał, zawierała jakąś tajemnicę, którą Hauner chciał spieniężyć... Zresztą Hauner nie musiał sam popełnić zbrodni, — mógł mieć współników... Mógł zagadywać w jednym z pokoi dziewczynę, a tymczasem jego współnik mógł przekraść się do gościnnego pokoju i przez otwór kominka

przedostać się do gabinetu, aby tam przytrzasnąć jej męża w stalowej szafie... — Ale dlaczego zamordowano Haunera? — pytała sama siebie, wpadając nagle w wątpliwość co do prawdopodobieństwa poprzedniego swego rozumowania. W każdym razie pani Luiza rozumiała, że wyznanie Lotti rzuciło teraz inne światło na tragiczną sprawę. A pani Luiza tak bardzo pragnęła, aby przed jej wyjazdem zagadka została rozwiązana, Zdawało się jej, że przychwycenie mordercy przyniesie jej moralny spokój i ulgę... Przekonana była, że Lotti ani słowem nie wspomniała policji o tajemnicy pokojów gościnnych, nie chcąc siebie narażać na aresztowanie. Obecnie jej zeznanie mogło być istotne i decydujące dla sprawy. Dlatego mimo późnej pory postanowiła telefonicznie połączyć się z prezydentem policji i wezwać do siebie Blindowa.

Wstała z fotela i skierowała się do telefonu. Długi czas jednak nie mogła uzyskać połączenia. Wreszcie otrzymała żądany numer, ale w dyrekcji policji oświadczono, że radcy Blindowa od dwóch dni nie było w biurze.

— Może i on uległ epidemji? — myślała z niepokojem. Równocześnie jednak przypomniała sobie, że Strogow opowiadał, iż dziś spotkał się z radcą policji w ministerstwie spraw zagranicznych. Postanowiła więc sprawę odłożyć do dnia następnego. — Wcześniej rano wezwę Blind-



dowa do siebie, — myślała, — opowiem mu wszystko, a równocześnie będę go prosiła, aby Lotti nie pociągnięto do odpowiedzialności.

To postanowienie uspokoiło ją nieco. Zasnęła sama w oknach żaluzje i ciężkie welurowe portjery i zaczęła wolno układać się do snu. Sen jednak nie nadchodził. Pobudzona opowiadaniem Lotti fantazja zaczęła pracować gorączkowo. W półśnie widziała Haunera, który jak kot zakrada się za olbrzymią sylwetką jej męża. Hauner trzymał w rękach rewolwer i już zamierzał strzelić, gdy nagle ona chwyciła go za rękę i rozpoczęło się śmiertelne szamotanie. Baron Teitelberg zamiast jednak rzucić się na swego mordercę, zaczął ścisnąć jej szyję, aż traciła oddech. Nagle uścisk zwolnił się, pani Luiza chwyciła oddech i zdziwiona spostrzegła, że przed nią stoi tylko doktor Hiwi, uśmiecha się zagadkowo i wręcza jej wiązanek pąsowych róż. Chwyciła gorączkowo kwiaty, pokryte świeżą rosą i przyciskała je do rozpalonych skroni. A doktor Hiwi zaczął wyznawać jej swoją miłość. Mówił tak cicho, że nie mogła słyszeć jego słów. Obrazy zaczęły wreszcie kołować przed nią, mieszać się ze sobą, wzajemnie popychać i rozrywać, wreszcie przed jej oczyma obracało się jakieś olbrzymie, błyszczące kolisko, pełne nieregularnych, ekscentrycznych linii.

— Boże! Chyba jestem chora, — szepnęła zaniepokojona.

Dźwignęła się z pościeli i zaczęła wsłuchiwać się w ciszę nocy. Ale w jej apartamentach panował zupełny spokój, tylko z pokoju doktora Hiwi dochodził brzęk jakichś retort i próbówek. Zgasła lampę.

### ROZDZIAŁ III.

#### WAŻNE PRZYRZECZENIE.

Lotti wyjątkowo wcześniej przyszła tego dnia do hotelu, aby, zgodnie z wczorajszem poleceniem, obudzić swoją panią o godzinie dziewiątej. W hotelu zastała już Strogowa. Siedział w hallu w głębokim fotelu i zawzięcie studjował mapę.

Cisza panowała o tej godzinie w tym wspałym westybulu holetowym, który niedawno jeszcze wypełniała od świtu do nocy pstra masa ludzka, porozumiewająca się językami całego świata. Kioski z gazetami, kantory wymiany, restauracja były zamknięte, tylko w okienku oddziału informacyjnego tkwił blady, wycieńczony boy, jedyny teraz reprezentant informacji hotelowej.

Kroki młodej dziewczyny wrzynały się w ciszę i miały w sobie coś tak niesamowitego, jak echo stąpania żywego człowieka w grobowcu. Zdumiony boy podniósł głowę i patrzył obojętnie na wczesnego gościa. Strogow oderwał oczy z nad mapy, zobaczył Lotti i przywołał ją ruchem ręki.

— Zbudzisz bezzwłocznie panią i doręczysz jej tę depezę. Powiesz, że ja tu czekam i proszę, aby pani mnie przyjęła, — rozkazał krótko.

Dziewczyna wzięła telegram do ręki, stała kilka sekund, jakby chciała coś powiedzieć; ale Strogow spojrzeniem odepchnął ją od siebie. Słowa zamarły dziewczynie na ustach. Szybko wbiegła na schody. Weszła cicho do sypialni baronowej, odsunęła portjery, podniosła żaluzje. Promienie zimowego słońca wtargnęły przez szyby do pokoju, wyzłociły kąty i wesoło zaczęły igrać na różowych tapetach. Potem przeniosły się na olbrzymie barokowe łóżko i drażniły twarz śpiącej. Pani Luiza skrzywiła się niezadowolona, że coś mąci jej sen. Lotti zbliżyła się do łóżka, nachyliła się nad swoją panią:

— Przyszedł telegram.

Baronowa otworzyła oczy, uśmiechnęła się do pokojówki, ale widocznie przypomniała sobie przeżycia wczorajszego wieczoru, bo uśmiech odleciał natychmiast z jej twarzy. Wyciągnęła rękę po blankiet, rozerwała szybko pieczęcie.

Erika donosiła, że jest zupełnie zdrowa i wyjeżdża z Bauernburgami w kierunku granicy austriackiej. — „Jedziemy silnym wozem — pisała Erika — tak, że spodziewamy się następnego dnia w południe minąć granicę niemiecką. Wszystko jest przygotowane, nie spodziewamy się żadnych trudności przy wjeździe.“

Równocześnie Erika prosi matkę, aby możliwie jaknajszybciej opuściła Niemcy, gdyż wiadomości, które nadchodzą z Berlina, są silnie niepokojące.

Pani Luiza odłożyła telegram i odetchnęła z uczuciem wielkiej ulgi. A więc jej córka, dzięki uprzejmości przyjaciół znajduje się już bezpieczna poza kordonem epidemicznym... Spojrzała jeszcze raz na telegram. Nadany był poprzedniego dnia rano, czyli Erika znajdowała się blisko granicy.

Wiadomość o wyjeździe córki wprawiły ją w dobry humor. Już chciała odezwać się do pokojówki, gdy przypomniała sobie wczorajsze wyznanie. Dobre słowa zamarzył pani Luizie na ustach. Lotti zameldowała nieśmiało:

— Książę Strogow czeka na dole i prosi uprzejmie, aby pani baronowa przyjęła go niezwłocznie.

— Czy książę mówił, w jakiej sprawie chce się ze mną porozumieć?

— Nie mówił, przeglądał tylko mapę, kazał mi wręczyć telegram i powiedzieć, że ma ważny interes...

Pani Luiza wstała szybko z łóżka, ubrała w fioletowy szlafrok i podeszła do lustra. Przeraziła się bladym wyglądem swej twarzy. Oczy jej podkrążone były głęboko, na powiekach snuły się niebieskawe cienie. Nawet Lotti zwróciła uwagę na jej niezwykłą bladość.

— Po tem, coś mi wczoraj wyznała, nie przypuszczasz chyba, abym mogła wyglądać inaczej... — rzuciła niechętnie.

Dziewczyna milcząco pomagała swojej pani w uzupełnieniu rannej toalety. Za chwilę pani Luiza wysłała ją do Strogowa z zawiadomieniem, że go oczekuje.

Zaledwie Strogow wszedł, wydał okrzyk przeżenienia:

— Bój się Boga, Luizo! — Jak ty wyglądasz? Jak po ciężkiej chorobie... Czy może Erika przysłała jakąś przykrą wiadomość...?

— Przeciwnie, Erika dziś jeszcze minie granicę niemiecką i przypuszczam, że jutro już będzie w Wiedniu.

— Więc na Boga, powiedz co się stało?

Nie odpowiedziała, tylko uczyniła oczami znaczący gest w kierunku Lotti. Zaledwie dziewczyna opuściła pokój, pani Luiza nie mogła opanować zdenerwowania. Wybuchła spazmatycznym płaczem.

— Nie wiesz o czem dowiedziałam się wczoraj. Prawdopodobnie nie będę mogła wyjechać z Berlina. Lotti ujawniła przedemną wczoraj takie szczegóły, które rzuca nowe światło na morderstwo mojego męża.

— Cóż ci ona powiedziała?

— Przyznała się do swego stosunku z Hau-nerem... Ona otworzyła to nieszczęsne okno,

przez które wszedł morderca. Chcę właśnie telefonować do Blindowa, aby opowiedzieć mu o tych szczegółach... A potem, pamiętasz tych dziesięć tysięcy marek, które na kilka dni przed śmiercią męża pożyczyłeś mi... Obiecałam ci je zwrócić...

— Ależ Luizo, nie potrzebujesz się tą sumą denerwować, oddawna mam ją już z powrotem w kieszeni.

— Jako? Kto ci oddał? — spytała nerwowo.

— Odebrałem pieniądze od bandy szantażystów, którzy chcieli wymusić pieniądze na tobie... Wyszły więc z mojej kieszeni i wróciły do mojej kieszeni, niepotrzebnie sprawiając ci tyle przykrości. Byłabyś uniknęła wszystkiego, gdybyś wtedy wyznała mi, na co pieniądze są ci potrzebne. Niestety, nie miałaś do mnie zaufania...

— Dymitr, nie mów tak... Do ciebie mam bezgraniczne zaufanie... Ty ani słowem nie wspomniałeś mi o tem, że domyśliłeś się prawdy. Nie mówiłeś nic, że od Lotti wydobyłeś ważne zeznania, i o to mam do ciebie głęboki żal...

— Żartujesz Luizo. Wziąłem na swoje barki obowiązek rozprawienia się w twojem imieniu ze zgrają wyzyskiwaczy. Nie chciałem, abyś zetknęła się z ludźmi najgorszego gatunku. Rozumiesz chyba, że najłatwiej mi było skie-

rować sprawę do policji śledczej, nie mogłem jednak tego uczynić, tylko ze względu na ciebie. Sam musiałem się bawić w detektywa i sam wyrwać pieniądze z rąk szantażystów... Gdyby bowiem wiadomość o szantażu przedostała się do wiadomości władz i prasy, byłby wybuchł skandal towarzyski, który nie oszczędziłby ani mnie ani ciebie...

Przyznała mu rację. Zrozumiała, że doniesienie policyjne mogło pociągnąć za sobą przykre konsekwencje. Mogło grozić jej skandalem, w który byłaby wmieszana ona, Strogow, a może nawet i Erika...

— Wytłumacz mi jednak Dymitr, — prosiła, ochłonawszy ze zdenerwowania — jak wpadłeś na ślad tego, że osaczona jestem szantażystami i że Lotti należy do ich spółki. Tak bardzo do wierzałam tej dziewczynie...

— Nie było to tak trudne, jak przypuszczasz, mówił z lekkim uśmiechem. Gdy wszedłem jako stały gość i przyjaciel pod dach twego domu, zastanawiałem się nad wszystkim, co należy do twego otoczenia. Niestety, widziałem tylu złych ludzi wśród których musiałaś żyć...

— Czy Haunera uważałeś zawsze za łotra?

— Och, nietylko Haunera, to był mały człowiek...

— Kogo jeszcze? — spytała mocno zaciekawiona.



Nie odpowiedział, patrzył gdzieś w kąt pokoju, jakby myślał nad czymś. Potem mówił wolno:

— Pozwól, że odpowiem najpierw na poprzednie pytanie. Gdy prosiłaś mnie o pożyczkę, byłem zdumiony. Wiedziałem, że nie masz żadnych utajonych przed mężem wydatków. Wiedziałem doskonale, że nie zajmujesz się interesami. Suma dziesięć tysięcy marek była poważna... Oczywiście pieniądze wręczyłem ci, nawet bez słowa zapytania, na co są ci potrzebne. Niemniej jednak bacznie śledziłem jak je użyjesz. Raz widziałem, że w przystępie silnego zdenerwowania chowałaś przedemną kopertę pieniężną. Dorozumiałem się, że pieniądze zamierzasz gdzieś wysłać. Obserwowałem dalej i spostrzegłem, że Lotti odniosła kopertę na pocztę. Od tej chwili rozpocząłem badania na własną rękę. Doprowadziły mnie one do zdumiewających rezultatów. Już w ciągu jednego dnia dowiedziałem się, że twoja pokojówka utrzymuje bliższe stosunki z Haunerem, człowiekiem żonatym, który nie cieszył się najlepszą opinią wśród swoich kolegów. Idąc po dalszych śladach, doszedłem do piekarni na Stralau. Ciągle jeszcze nie miałem żadnych danych, że to ta spółka pisała do ciebie list z żądaniem pieniędzy. Potem nastąpił gwałtowny cios: tragiczna śmierć Geheimrata. Gdy

wróciłem do Berlina, nie zajmowałem się oczywiście szajką szantażystów, pochłonięty wówczas myślą o tobie. Jednego wieczorem przyszedł na Grunewald Blindow. Zrobił na mnie jak najlepsze wrażenie. Pokazał ci list, który znalazł w pokoju Haunera. Pytał, czy znasz pismo. Zbladłaś, nie mogłaś kartki papieru utrzymać w drżących palcach. Odebrałem ten list z twoich rąk i przeczytałem kilka zdań. Domyśliłem się zaraz, że to była zaczęta, ale na szczęście nie skończona nowa próba wyłudzenia od ciebie pieniędzy. Po pół godzinie znaleźliśmy Haunera w gabinecie twego męża z śmiertelną raną na szyji. Ponieważ nie mogłem już rozprawić się z szantażystą, postanowiłem pomówić z jego współnikami. Postanowiłem rozpocząć od najmniej wprawnego w łajdactwach człowieka: — od Lotti. Tu na dole, w hotelu „Adlon“ przyparłem ją do muru... Zagroziłem jej więzieniem. Przyznała się do wszystkiego. Bez zwłocznie pojechałem do Stralau i odebrałem część pieniędzy. Reszty musiałem długo szukać. Hauner miał w Berlinie najmniej cztery mieszkania. Nie wiedziałem, w którym z nich mieszka wraz z żoną. Ale i to udało mi się wybadać. Od żony otrzymałem resztę pieniędzy. Wydała mi je chętnie, bo i ona nie miała w tej sprawie czystego sumienia...

— I dlaczego ani słowa nie mówiłaś mi o tem?

— Nie chciałem drażnić twoich i tak obolałych nerwów. Pragnąłem oszczędzać cię. Wiedziałem zresztą, że sam poradzę sobie doskonale...

Spojrzała na niego z podziwem, że tak łatwo potrafi rozwikłać sprawę, która dla niej była tak tajemnicza i niedostępna.

— Doprawdy Dymitrze, imponujesz mi energią i domyślnością... Ale poradź teraz, co zrobić z zeznaniami Lotti. Widzę, że przyczyniłyby się niewątpliwie do wykrycia zbrodni. Mam skrupuły zataić je wobec policji.

Strogow nerwowo obracał w palcach złotą papierośnicę, potem spojrzał w jej oczy z jakimś smutkiem i zamyśleniem. Wreszcie spytał tak cicho, że ledwie dosłyszała:

— Czy bardzo zależy ci, by pomścić śmierć męża?

— Zależy mi — odparła prawie szeptem. Mam wrażenie, że wtedy odzyskałabym pełny spokój i równowagę. Wtedy dopiero rozpoczęłabym nowy żywot...

— Więc tkwi w tobie jeszcze sentyment dla zmarłego?

— O nie — zaprzeczyła gwałtownie — zrozum jednak, że tyle lat wspólnego życia przywiązuje jednak ludzi do siebie... Prawo zemsty, które przestrzegali Teutoni leży i w naturze dzisiejszego, cywilizowanego człowieka...

Coś w tem jest. Zdaje mi się, że gdybym wiedziała, że morderca nie uszedł karzącej sprawiedliwości Adolf odpuściłby mi grzech, który wobec niego popełniłam...

Słowa pani Luizy boleśnie raniły duszę Strogowa. Patrzył z wyrazem bólu na swoją kochankę, zagryzł usta aż do krwi. W jego oczach błysły łzy. Szybko opuścił głowę, aby pani Luiza nie spostrzegła tej chwili jego słabości. Ale ona zauważyła jego cierpienie. Podbiegła szybko do kochanka. Chwyliła jego rękę w swoje miękkie dłonie:

— Dymitr, co ci jest? — spytała przerażona.

Milczał. Zmagał się sam ze sobą, a potem powiedział stanowczo:

— Mogę ci przysiąc, że spełnię twoje życzenie. Znajdę tego, którego chcesz oddać w ręce sprawiedliwości, ale wzajemnie musisz mi przyrzec, że spełnisz moją prośbę.

— Spełnię.

— W mojej obecności nie wymienisz nigdy imienia tego, który stał na przeszkodzie naszemu szczęściu i nieraz jeszcze zacieży nad nami...

## ROZDZIAŁ IV.

### OSTATNI WIECZÓR NA GRUNEWALDZIE.

Baronowa Teitelberg po raz ostatni rzucała wzrokiem na tak dobrze znane jej, kąty willi na Grunewaldzie. Była dziwnie podniecona tym aktem pożegnania. Kazała zapalić wszystkie lampy, tak, że okna jaśniały od zewnątrz jak rozrzucone wśród nagich drzew japońskie lampiony. Lotti i Johann nakrywali kufry i walizy impregnowanymi pokrowcami.

Księżę Strogow kontrolował w garażu olbrzymią limuzynę, która miała odejść w daleką podróż. Szofer co chwila zapalał magnet, a księżę skrupulatnie badał oddech potężnej maszyny, który wstrząsał całym garażem.

— Idzie jak cacko! — zachwycał się szofer starając się przekrzyczeć loskot motoru.

Księżę skinął głową na znak uznania. Potem zbliżył się do szofera i kazał pokazać rezerwowe opony, wulkanizatory, każdy niemal przyrząd potrzebny w drodze.

Szofer był zadowolony z tej kontroli, lubiał pochwalić się starannością, wprost pietyzmem, jakim otaczał automobile baronowej. Gdy Strogow ukończył już badanie reflektorów, odszedł w kąk garażu, gdzie stała niska, długa „Lancia“. Patrzył na wóz z dziwnem rozczuleniem. W tym wozie tyle razy towarzyszył Luizie za życia jej męża, w drodze do teatrów, na rauty, koncerty i spaceru. Tyle pięknych chwil zawdzięczał tej, lśniącej, jakimś ciepłym polyskiem karoserji. Pieszczotliwie dotknął ręką motoru, jakby żywej istocie chciał podziękować za dobrą i wierną służbę. Nagle cofnął rękę.

— Ale też jestem marzycielem... — szepnął z wyrzutem do siebie. Gotów jestem całować się nawet... z motorem.

Niezadowolony z przyływu sentymentu odwrócił się od „Lanci“ i podszedł znów do szofera.

— Jak myślicie Robert, ile będziemy mogli jechać na godzinę.

— Do stu. Gościńce są suche, nie ma obawy o ślizganie się wozu, ale pani baronowa nie lubi zbyt szybkiej jazdy...

— Sądę, że szybkość taka jest niepotrzebna. Czy wystudjowaliście dobrze mapę?

— Znam ją na pamięć, — przechwalał się szofer. Mimo, iż książkę oznaczył tak skomplikowaną turę, mogę wyliczyć każdą wieś między

Berlinem—Neuköln—Landsberg i polską granicą. Znam już nawet na pamięć wszystkie nazwy polskich miasteczek, aż do Poznania. Dobrze jednak, że księżę poniechał planu jazdy przez Szczecin do Swinemünde...

— Dlaczego?

— Bałem się dla pani baronowej jazdy morzem. Wprawdzie mrozów niema, ale te przekłete przeciągi i wiatry... A pani baronowa taka delikatna i tak bardzo zmizerniała w ostatnich czasach.

Strogow przyjacielsko położył szoferowi rękę na ramieniu.

— Widocznie dbasz o swoją panią, — powiedział z uznaniem.

— Pani była zawsze dla mnie dobra, — mówił Robert. Łagodziła każdą przykrość, jaką mi pan Geheimrat wyrządzał...

— No dobrze. Pamiętaj jednak Robert, że za dwie godziny wyjeżdżamy. Sam musisz przypilnować, abyśmy nie zapóźnili godziny wyjazdu. Rano chcę już być poza Brandenburgją.

— Spełnię wszystko wedle rozkazu! — służbiście rzucił szofer.

Strogow wyszedł z garażu, kierując się ku willi. Zdziwiły go jasno oświetlone okna.

— Rzęsistą iluminacją żegnasz, Luizo, Grunewald, — powiedział wesoło.

— Trudno, tyle lat tu spędziłam, więc chce uroczyście pożegnać się z każdym kątem, — mówiła zawstydzona swoim sentymentem.

Strogow objął ją w pól, przycisnął do siebie i długo patrzył w drobną bladą twarz kochanki i silnie podkrążone oczy. Potem ręką pieśczołliwie gładził jej miękkie włosy.

— Kocham cię za twój sentyment. Tak bardzo jesteśmy podobnie do siebie... Zmizerniałaś biedactwo... Na twoich skroniach znaczą się teraz takie dziwne, niebieskie żyłki. Odżyjesz mi jednak tam w kraju, który o wiele jest piękniejszy i szczęśliwszy od murowanych i betonowanych Niemiec...

Przytuliła się pieśczołliwie do niego. Strogow całował jej czoło, oczy, twarz, ale nie jak kochanek, — jak najtroskliwszy ojciec lub opiekun.

— Chciałam cię prosić o wielką przysługę mówiła poważnie, wysuwając się z jego objęć. — Chcę pożegnać wszystkie kąty tego domu, nawet ten tragiczny pokój na górze... Nie mam odwagi sama uchylić drzwi, pragnę wejść tam z tobą.

Zgodził się. Weszli przez hall na schody. Pani Luiza zatrzymała się przez chwilę wzrokiem na miejscu, gdzie przed kilku miesiącami stał czarny katafalk, potem skierowała się szybko do gabinetu. Strogow widział, że przy-



bladła, gdy ręce jej dotknęły nikłowej klamki. Zdołała się jednak opanować, weszła do gabinetu, usiadła w skórzanym fotelu. Oczy jej ślizgały się po wszystkich kątach, po każdym meblu, zatrzymały się wreszcie na olbrzymiej stalowej szafie, przewróconej grzbietem do góry. Patrzyła w wykrojony otwór jak w poszarpaną ranę. Na twarzy jej malował się jednak chłód i spokój.

Strogow rozumiał, że po raz ostatni żegna się z tym nieszczęsnem miejscem i że odtąd wspomnienia jej przeszłości będą uwięzione już tylko w tych czterech ścianach i nie powędrują w daleki świat. Intuicją odgadł, że wspomnień tych ona sama już nie pragnie wywieźć poza mury willi na Grunewaldzie.

Długi czas trwali w milczeniu. Ani słowem nie starał się przerwać jej skupienia. Wreszcie wstała.

— Chodźmy już stąd, Dymitr, — powiedziała cicho i poważnie, jak mówi się na cmentarzu, a na twarzy jej malował się kamienny spokój.

— Chodźmy — powtórzył cicho.

Zgasili światło, zakręcili kluczem drzwi, za które rozegrały się dwie krwawe tragedje ludzkie. Oparła się na ramieniu kochanka a na usta jej wystąpił lekki uśmiech.

— Zrzuciłaś wielki ciężar z serca... — powiedział Strogow.

Skinęła głową.

W jadalni pani Luiza odzyskała dobry humor, zaczęła nawet żartować.

Strogow zaś przypomniał sobie, że w czasie dzisiejszej gorączkowej bieganiny za interesami, nie miał czasu zjeść obiadu. Widok nakrytego stołu wzniecał w nim głód. Nagle spostrzegł trzy nakrycia.

— Dla kogo trzecie nakrycie? — spytał zdziwiony.

— Trzecie nakrycie jest symboliczne... — tłumaczyła trochę zmieszana. — Kazałam je postawić dla Eriki. Opowiadałam ci już o tym zabobonie naszego ludu w kantonie Zurychskim: — jeśli ktoś chce się szybko z kimś nieobecnym spotkać, to należy przy każdym posiłku stawiać dla niego symboliczny talerz, wtedy zjawi się w ciągu kilku dni, choćby był o tysiąc mil odległy...

— Sądzę, że telegram wysłany pojutrze z Warszawy do Wiednia pod adresem Bauernburgów, przyspieszy przybycie Eriki na równi z symbolicznym talerzem...

— Proszę cię, nie kpij — powiedziała, udając obrażoną.

— Ależ Bóg mi świadkiem, nie kpię... Jestem tak głodny, że o niczem innym nie mogę myśleć, jak tylko o jedzeniu...

— Jeśli uważasz, że teraz zaspokoisz głód, to jesteś w błędzie... Dziś znowu nie dowie-

ziono do Berlina aprowizacji. Z wielkim trudem po kilkugodzinnej bieganinie, Johann zdobył przez znajomych trochę sterylizowanego mleka, jarzyn i kawałek mięsa. Mięso kazałam przygotować na drogę... Musisz pościć.

— Rozpacz — westchnął z tak nieszczęśliwą miną, że roześmiała się serdecznie.

— Trudno, mój drogi. Miesiąc temu zjadałeś majonezy z ryb i raków, homary, pulardy i pasztety z drobiu, teraz możesz trochę pościć...

— Nie mów, nie wspominaj tych błogosławionych czasów, bo oszaleję, — mówił zrozpaczony. Miesiąc już oddycham siarką i „caisitem“ naszego kochanego przyjaciela, odżywiam się sterylizowanym mlekiem i marchewką i mam wrażenie, że cały jestem już wysterylizowany. Za kawałek kielbasy sprzedałbym samego siebie...

Zamierzali usiąść do stołu, gdy w hallu rozległ się ostry głos dzwonka.

— Ciekawa jestem, co za gość o tak spóźnionej porze — spytała zdziwiona.

— Nie mam pojęcia, komu chciało się przyjść do nas na Grunewald...

Za chwilę rozległo się lekkie stukanie do drzwi jadalni. Bez zameldowania wszedł do pokoju doktor Hiwi. Był dziwnie uroczysty, tylko na twarzy uczonego błąkał się zagadkowy

uśmiech. W rękach trzymał doktor wiązanke pięknych, pąsowych róż, na których mieniły się krople świeżej rosy.

— Ach, kochany doktor! — powitali go ze szczerą radością.

— Ponieważ zapomnieliście pożegnać się ze mną, więc musiałem przyjechać, aż na Grunewald, aby uścisnąć wasze ręce...

— Kochany doktor, — mówiła pani Luiza, przyciskając do twarzy piękne, chłodne kwiaty z dziecianną radością. Dziś w nocy we śnie, widziałam pana z takim naręczem pięknych róż...

— Zaczynam być zazdrosny o naszego przyjaciela, — powiedział żartobliwie Strogow. Doktor ukazuje się tobie we śnie, potem stawiasz symboliczne dla niego nakrycie, a twierdzisz, że to dla Eriki... Wszystko wydaje mi się mocno podejrzane... Ale gdzie doktor wyszukał w Berlinie te piękne róże? Tak dziwny kontrast tworzą one z tem opustoszałym miastem...

— Tajemnicy nie mogę zdradzić. Róż szukałem wytrwale, chciałem pożegnać was kwiatami: — symbolem szczęścia i radości.

Byli wzruszeni dobrocią i życzliwością egzotycznego przyjaciela, którego los postawił niespodzianie na drodze ich życia w tak ponurych dniach. Ściskali serdecznie jego ręce, w oczach baronowej błysły nawet łzy wzruszenia.

— Niech mnie pani nie oplakuje jeszcze, nie mam zamiaru umierać w Berlinie, przeciwnie, najpóźniej w ciągu dwóch tygodni będę w Warszawie, gdy tylko przekonam się o wynikach mojego „Caisitu“...

Usiedli we trójkę przy stole. Doktor Hiwi z ciekawością wypytywał się, jaką drogą jadą do Polski. Japończyk znał dokładnie Warszawę, spędził w stolicy Polski w roku 1920 kilka miesięcy, w czasie, kiedy Polska przeżywała chwile najazdu bolszewickiego. O Polsce, wyrażał się doktor Hiwi z wielką życzliwością i uznaniem, zbijał wszystkie wątpliwości i obawy baronowej, która lękała się podróży do tego nieznanego jej kraju.

— Wczoraj Luiza nie chciała mi wierzyć, że Polacy po bankiecie nie zjadają świec z kandelabrow, ani w czasie dyskusji nie rzucają w siebie talerzami i półmiskami, — żartował Strogow.

Japończyka żart ten ubawił serdecznie. Czas upływał im szybko. Nie spostrzegli nawet, kiedy szofer zawiadomił, że automobil czeka już w garażu gotowy do drogi. Baronowa każała przygotować futra podróżne. Żegnali się długo i serdecznie. Ciężko im było rozplatać te nici sympatji i przyjaźni, jakie oplotły ich w dniach trwogi i niebezpieczeństwa.

— Nie wiem doprawdy, jak dziękować doktorowi za tę opiekę i starania, jakimi otaczał

nas pan w hotelu „Adlon“, Na całe życie zaciągnęliśmy wobec pana niespłacalne zobowiązanie... — mówiła pani Luiza, ściskając serdecznie drobną dłoń japończyka.

— W Warszawie pomówimy o wdzięczności, tam tło będzie nieco weselsze... — odpowiedział doktor Hiwi.

Nagle Strogow przypomniał sobie jakąś ważną sprawę, bo szybko zwrócił się do lekarza i odciągnął go w kąt sali. Rozmawiali długo i przyciszonym głosem, Do uszu pani Luizy dobiegało tylko od czasu do czasu nazwisko Blindowa. Doktor Hiwi skrzętnie zapisywał coś w notatniku.

Gdy szofer przypomniał o porze odjazdu, wtedy pożegnali się raz jeszcze serdecznie i wyszli przed garaż.

Noc była piękna. Przez konary i gałęzie drzew przeglądała tarcza księżyca. Na czarnem tle nieba, jakby ktoś rozsypał garściami złoty pył piasku. Cisza panowała w powietrzu.

— Wieczór jak stworzony dla podróży poślubnej, — rzucił żartobliwie doktor Hiwi.

Otulili się w futra, szofer przytrzasnął drzwiczki, za chwilę głuchy warkot motoru unosił panią Luizę i Strogowa w kierunku Neukölnu.

Gdy automobil znikł na zakręcie, doktor Hiwi stał jeszcze chwilę na ulcy, patrzył jak w jasno oświetlonych oknach migają cienie

służby, porządkującej pokoje po wyjeździe państwa. Światła w oknach zaczęły jednak wolno gasnąć i wtedy jakiś żal ścisnął serce doktora Hiwi. Japończyk czuł się nagle opuszczony jak palec w dużym mieście.

— No, długo nie pobędę w tym kamiennym grobowcu! — rzucił tak głośno w czeluść ulicy, że aż sam przeląkł się swego głosu.

Potem wolno podszedł do taxi i kazał się wieźć do miasta.

Na rogu Brandenburgerter doktór Hiwi zatrzymał auto, zapłacił należność i wysiadł. Piechotą kierował się na ulicę „Unter den Linden“ do hotelu.

Na dawno nieczyszczonych ulicach Berlina potworzyły się olbrzymie zwały brudnego, lepkiego błota, w których tkwiły strzępy papieru, słoma, śmieci i niedopałki papierosów. Wszędzie panował brud, nieład i zaniedbanie. W poświęcie latarni ulicznych snuli się wylęknieni przechodnie jak psy bezdomne, które nie mogą trafić do swoich bram.

— Chyba nigdy jeszcze Berlin nie był tak zaniedbany, jak teraz, — mruknął japończyk niezadowolony, przypominając sobie miły wieczór na Grunewaldzie.

Spojrzał na wnek jakiegoś domu. Wyglądał jak byrkowy arlekin, którego strój rozpadł się w nędzne, pstre łachmany. Po obu stronach

bramy, zwieszały się płachty podartych kolorowych afiszów i reklam. Zgaszone przed bramą żarówki układały się w martwy dziś napis: „Mascotte“. Doktor Hiwi przypomniał sobie, jak z tych żarówek niedawno jeszcze wylewał się strumień jaskrawego światła, rwał oczy przechodniów, barwił różnokolorowym światłem chodniki i jezdnie. W bramie stał olbrzymi wąż ludzki, elastyczny we wszystkich kręgach, cisnął się do okien kasy i oglądał fotografie modnych bożyszczyń tańca. Z wnętrza zaś były w ulicę dźwięki jazz-bandu namiętne i kuszące.

Dziś wszystko zamarło...

Doktor Hiwi szedł dalej, starał się stąpać cicho i ostrożnie, jakby się bał urazić śmiertelnie chorego człowieka.

W bramie hotelu „Adlon“ japończyk otrząsnął się z nie milego wrażenia jakby przepłynął gęstą brudną, wodę.

— Kiedy to miasto odżyje po śmiertelnym ciosie? — rozmyślał uczony japoński, kierując się ku schodom.

W hallu przystąpił do niego boy hotelowy, trzymając jakiś list w ręce.

— O pana doktora pytał się jakiś pan, wysoki, chudy, w szklach, — mówił wolno, jakby sennie. Był tu najmniej cztery razy, wreszcie napisał list i prosił, abym koniecznie dziś go doręczył. Wróci tu po odpowiedź...



Doktor Hiwi spojrzał na bladą twarz chłopca, na jego przygasłe, w głąb cofnięte oczy.

— Nie jesteś chory? — spytał.

— Nie panie.

— A dlaczego wyglądasz, jak w dwa dni po własnej śmierci...?

— Jestem głodny. Dziś znowu nie dowieziono aprowizacji do Berlina... Już trzeci raz w tym tygodniu...

Doktor Hiwi sięgnął spiesznie do kieszeni, wyjął dziesięciomarkowy banknot i wcisnął go chłopcu do chudych palców. Boy starał się uśmiechnąć, ale skrzywił się tylko boleśnie, pokazał białe, anemiczne dziąsła.

— Dziękuję panu. Ale co dziś po pieniądzach... Chleba nie kupi, choćby za dziesięć marek... Ze strachu nie dowożą, a wyjechać po prowianty nie pozwolą... Doprawdy, nie wiem, czy lepiej ludziom chorym tam w barakach na Charlottenburgu, czy nam zdrowym w Berlinie...

— Nie gadaj głupstw! — przerwał mu szorstko doktor Hiwi i szybko przedarł kopertę.

Na bilecie wizytowym skreślonych było tych kilka słów:

„Szanowny Panie Doktorze! Dzięki poparciu księcia Dymitra Strogowa ośmielam się prosić o wyznaczenie mi chwili rozmowy, w której

mógłbym przedstawić Panu prośbę. Chcę wyjechać z Berlina do Gdańska i w żaden sposób nie mogę otrzymać zezwolenia na przyjazd od władz wolnego miasta. Dzięki poparciu Pana mógłbym pozwolenie takie otrzymać. Książę zapewniał mnie, że Pan w swojej uprzejmości nie odmówi mi swego poparcia.

K. Blindow — radca policji“.

Doktór Hiwi patrzył na bilet, obracał go w drobnych palcach, a na jego wąskich ustach wystąpił zagadkowy uśmiech, wreszcie przywołał chłopca:

— Powiedz temu panu, że jestem bardzo zajęty i przyjąć go nie mogę...

Potem doktor Hiwi skierował się po schodach na pierwsze piętro. Przed drzwiami apartamentu baronowej japończyk przystanął na chwilę, wreszcie nerwowym ruchem odwrócił się i wszedł energicznie do swego pokoju.

Porozstawiane na prowizorycznych stołach próbówki, mikroskopy przypomniały Dr. Hiwi, że jutro ma odczyt w Centralnem Towarzystwie Lekarskim, który ma się stać zwrótnym momentem w walce z szalejącą epidemją.

Szybko zdjął futro i ubrał w płaszcz laboratoryjny. Wyciągnął z szuflady biurka pliki papierów i zapisków. Prawdopodobnie dla ostrożności, aby nikt nie przeszkodził mu w pracy,

opuścił żaluzje w oknach i starannie przekręcił klucz w drzwiach. Potem z powrotem usiadł i głęboko pochylił się nad pracą.

Praca jednak szła mu wyjątkowo opornie. Na skrawkach papieru zapisanego gęsto znakami chemicznymi i liczbami przesuwaly mu się ciągle obrazy dzisiejszego wieczoru: ten miły, ciepły nastrój na Grunewaldzie, te szczere, gorące uściski przyjaciół. Wyraźnie widział łązy baronowej, gdy tuliła do twarzy wiązkę chłodnych róż. W końcu ta noc i gwiazdy rozsiane jak srebrny żwir po niebie... Obrazy zaczęły coraz wolniej przesuwać się przed jego oczyma. Ogarniała go senność. Usiłował ją przewyciężyć. Wstał, zdjął czarne okulary, które przesłaniały jego oczy, skupił całą energję i usiadł z powrotem do pracy.

Zegar na Frauenkirche wydzwonił godzinę drugą nad ranem, gdy doktor Hiwi nerwowo odsunął mikroskop i przymknął na chwilę zmęczone oczy. W głowie czuł szum, oczy piekły go nieznośnie. Wstał od stołu, zmoczył ręcznik w zimnej wodzie i położył go na rozgrzanej głowie.

— Jeszcze tylko dwie godziny — szepnął do siebie

Potem nerwowo zaczął rozglądać się po pokoju, czy ktoś nie śledzi jego ruchów. Jeszcze raz skontrolował drzwi i żaluzje i cichym, jak kot, krok em podszedł do olbrzymiego kufra.

Silnym ruchem odsunął go, potem ukląkł na podłodze i starannie zaczął dłutem podważać dębową płytę parkietu. Płyta za chwilę ustąpiła. Lekarz japoński ubrał gumowe rękawiczki, na twarz nasunął hełm ochronny. W końcu zanurzył ręce w otworze i wydobyl pocięte strzępy jakiejś małej walizki, na której widniały resztki monogramu „P. Z.“ Ostremi nożyczkami odciął kawał tektury, poczem starannie owinął resztę w płótno i ukrył znów w tajemniczym otworze.

Praca ta musiała silnie wyczerpywać jego nerwy, bo chwiejnym z osłabienia krokiem podszedł do stołu i położył kawał uciętej tektury na grubej płycie szklanej. Potem zbliżył się do błyszczącego pudła telefonu, zdjął słuchawkę, odsunął maskę z twarzy i zażądał połączenia. Po chwili szeptał przyciszonym głosem do mikrofonu.

— To ty Ommy. Tak? Doskonale. Dziś o godzinie 6 tej rano czekam cię w umówionem miejscu. Musisz być jednak podwójnie ostrożny... Czeka cię nielada trud... Do widzenia za cztery godziny.

Zaledwie doktor Hiwi zawiesił słuchawkę, zaśmiał się nerwowym śmiechem, śmiech przypominał ciche szczekanie psa.

Zdawało się, że ten niesamowity śmiech objija się długo wśród ścian zacisznego apartamentu hotelowego.

## ROZDZIAŁ V.

### W POLSCE.

Od strony Nowego Meklenburga i Krzyża ku granicy polskiej jechała pełnym gazem olbrzymia limuzyna, oblepiona grubą warstwą błota. W szarej poświacie dnia wyglądała, jak popielata bryła, posuwająca się z szybkością lawiny po krętej linii gościńca. Szofer zgasił reflektory i zwolnił pęd. Wedle otrzymanych od miejscowej ludności informacji o kilka kilometrów stąd znajdowały się już graniczne posterunki polskie. O tej wczesnej porze okoliczne wsie budziły się już z głębokiego snu. Rozpoczynała się pierwsza praca ludzi jeszcze rozleniwionych i zaspanych.

Szofer zapukał w szybę i wskazał ręką na horyzont. Baronowa Teitelberg pobiegła oczami w wskazanym kierunku, ale nie mogła nic dojrzeć. Horyzont otulony był niebieskim dymem mgły.

— Dymitr, co on pokazuje? — spytała z niepokojem.

— Wskazuje na posterunki polskie, — spokojnie odpowiedział Strogow.

— Nie widzę ich zupełnie.

— Gdy minjemy zakręt, zobaczysz je wyraźniej...

Za zakrętem rzeczywiście zobaczyła poruszające się drobne punkciki, które w szerokim odstepie posuwały się wolno naprzód. Cofnęła się w tył, przyknęła oczy, a z ust jej wyszedł tak cichy szept, jakby mówiła sama do siebie:

— Boże, jak się lękam...

Strogow ujął jej drobną rękę i silnie uściśnął.

— Luizo, jestem przy tobie... Nie złego nie może cię spotkać. Nie wierzysz chyba w to, abym twoją kochaną głowę chciał narazić na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo...

— A jeśli zamkną nas w barakach epidemicznych zamiast wpuścić do kraju? — pytała z rosnącym niepokojem.

Roześmiał się serdecznie, miłośnie objął ją ramieniem.

— Polegaj na mnie, — prosił. Nie jedziemy przecież do zrewolucjonizowanych Chin, tylko do Polski, kraju tak samo cywilizowanego jak Niemcy... Zmęczona jesteś długą i uciążliwą drogą, egzaltujesz więc trochę niebezpieczeństwo.

Tymczasem graniczne posterunki polskie zaczęły być coraz wyraźniejsze. Zdołała już

odróżnić sylwetki poszczególnych żołnierzy, otulonych w grube płaszcze koloru „khaki“ i kwadratowe czapki. Serce jej biło tak silnie, jakby poruszał się olbrzymi kamień i uderzał z głuchym impetem o jej klatkę piersiową.

Auto minęło jeszcze jeden zakręt i znaleźli się o kilka kroków od patroli. Jeden z żołnierzy podniósł rękę do góry. Automobil zatrzymał się. Żołnierze zbliżali się wolno do wozu. Początkowo starali się porozumieć z szoferem. Strogow jednak uprzedził odpowiedź i mimo ciężkiego futra wyskoczył szybko z limuzyny, wyciągnął dokumenty i papiery i milcząco podał je żołnierzom. Dowódca patroli z uwagą oglądał paszporty, wreszcie z uprzejmym uśmiechem zwrócił je księciu.

— Chciałbym pomówić koniecznie z oficerem granicznym, — prosił Strogow.

— Oficer w tej chwili właśnie wstaje, — informował uprzejmie żołnierz. Mieszka stąd o kilkadziesiąt kroków w tym białym domu. Tam jest również kancelarja. Zaprowadzimy pana...

Strogow otworzył drzwiczki automobilu i zwrócił się do swej towarzyszki:

— Luizo, wyjdź z tego dusznego pudła. Powietrze jest tak czyste, że dobrze będzie przejść się tych kilka kroków. Robert tymczasem podjedzie, a my rozprostujemy zmęczone członki.

Wyszła otulając się szczelnie futrem. Z ustawicznym niepokojem patrzyła na twarze żołnierzy. Ale z pod długich, okutych daszków patrzyły na nią dobre, niebieskie oczy z dziwną życzliwością. Wyraz tych oczu uspokoił ją nieco. Do jej zmęczonych płuc przedostawały się teraz strugi chłodnego, czystego powietrza, lekki wiatr głaskał jej czoło i zmęczone bezsennością oczy. Na powietrzu czuła się lepiej. do duszy powracał spokój.

— Zmęczyła cię bardzo ta eskapada? — spytał troskliwie Strogow.

— O tak, czuję się bardzo zmęczoną. Powinniśmy byli odpocząć w drodze, ale tak nagliście...

— Nie bez racji. Uważałem, że bezpieczniej będzie, gdy nie opuścimy limuzyny na terenie Niemiec. Chciałem, abyśmy zdrowo i cało przyjechali do Polski, bałem się niepewnych kwater i epidemji.

Szli w kierunku domu oficera. Strogow szedł naprzód i rozmawiał z ożywieniem z dowódcą patrolu. Obok niej postępowało dwóch żołnierzy z najeżonymi na karabinach bagnietami. W czerwonych refleksach zorzy pochód ten wydawał się jej tak dziwny i niesamowity, a milczenie tak nieznośne, że postanowiła zagadnąć jednego z żołnierzy.

— Czy Polska wpuszcza uchodźców z Niemiec?



— Przed dwoma tygodniami mieliśmy rozkaz wpuszczać tylko tych, którzy mieli wizy konsularne polskie, — odpowiedział uprzejmie żołnierz czystą niemieczyzną. — Umieszczaliśmy ich jednak w barakach, gdzie czternaście dni musieli spędzić na kwarantannie. Od dwóch tygodni jednak mamy ostry rozkaz, nie wpuszczania nikogo. Przypuszczam jednak, że państwo wpuszczają, bo ten pan ma wyjątkowo dobre papiery, — powiedział, wskazując na Strogowa.

— A czy dużo ludzi stara się z Niemiec przedostać do Polski?

— O, bardzo dużo... Przed dwoma tygodniami oblegali granicę tak, że nieraz obawialiśmy się, by nie przerwali naszych kordonów granicznych. Gdy nie zdołali się przedrzeć, wtedy osiedlali się chwilowo w pogranicznych wsiach niemieckich. Niestety pojawili się i chorzy, którzy roznieśli zarazę z Berlina. Patrole niemieckie odepchnęły ich od tych wsi nieco w tył, gdzie są baraki epidemiczne.

Słuchała z zacięciem opowiadania żołnierza, który w bardzo inteligentny sposób opisywał jej wstrząsające sceny błagań i próśb nieszczęśliwych uciekinierów niemieckich, aby przepuścić ich na terytorjum polskie. Padali do nóg, starali się przekupywać żołnierzy polskich, niektórzy nawet w przystępie rozpacz

chwyłali za broń i chcieli stoczyć z żołnierzami polskimi formalną bitwę. W słowach żołnierza dźwięczała nuta smutku i żalu.

— Czy żal panu tych biedaków? — spytała żołnierza.

— O tak, Żal mi bardzo. Ten kto widział rozdzierające sceny, jakie tu się działy na pograniczu, musiał litować się nad tymi nędzaczami. Niestety, zrozumie pani, nie mogliśmy ulżyć ich doli. Obawialiśmy się, że zawleką epidemję do naszego kraju. Robiliśmy co mogli. Dostarczaliśmy żywność, ponieważ okoliczne wsie nie mogły tylu tysięcy wyżywić.

Teraz z kolei żołnierze wypytywali ją o wypadki berlińskie. Opowiadała im o niespodzianym wybuchu epidemji, który zaskoczył ludność miasta, tak, że o zlokalizowaniu czy ewakuacji nie mogło być mowy, mówiła o dzieciątkach, potem tysiącach ofiar, które tworzą już dziś olbrzymie cmentarzysko za jednym z najbardziej ożywionych przedmieść Berlina.

— I nie ma na to ratunku? — spytał jeden z żołnierzy.

— Przed kilku dopiero dniami odkrył jeden z uczonych japońskich bakcyła tej choroby. Podobno znalazł jakiś środek zapobiegawczy... Ma być skuteczny...

— To dziwne, — wtrącił żołnierz. — U nas w Polsce podobno teraz nie wiele robią sobie

z tej choroby. Siedzimy tu na krańcu świata, więc nie wiele wiemy, ale wojsko i straż celną tu na pograniczu szczepiono już przed kilku dniami, oprócz tego domy dezynfekowano „Caisitem“.

— „Caisitem“? — spytała mocno zdziwiona.

— Tak „Caisitem“, pamiętam doskonale nazwę, przysłano to do naszych oddziałów sanitarnych z Warszawy. Są to paczki w czerwonym opakowaniu z czarnym dużym napisem „Caisit“. Na własne oczy widziałem...

Chciała jeszcze o coś spytać żołnierza, ale doszli do białego, murowanego domu, na którym wywieszone było godło państwa polskiego. Tu mieściły się wojskowe oddziały pograniczne i straż celna.

Weszli do dużego, schludnego pokoju. Uderzyła ją czystość w każdym kącie izby. Dołatywał miły zapach kawy, który podniecał jej głód i drażnił nozdrza.

— Gotują śniadanie, — szepnęła cicho do Strogowa z wyrazem takiego łakomstwa na twarzy, że aż się uśmiechnął.

— Widocznie i ty napilabyś się szłankę gorącej kawy.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo do pokoju wszedł oficer, dowódca oddziału. Był to młody wysoki mężczyzna o jasnych oczach i ciemnej,

krótko strzyżonej czuprynie. Przywitał przybyszy wesołym uśmiechem. Zauważyła jego białe, zdrowe zęby, przypominające młodego wilka. Uprzejmie wskazał jej miejsce na białej świeżo wymytej ławce.

— Może państwo zdejmą te ciężkie futra?  
W pokoju napalone.

Oficer mówił słabo po niemiecku, co chwila zaciął się, szukał wyrazów. Wobec tego Strogow nawiązał rozmowę w języku polskim. Pokazał oficerowi paszporty i dokumenty, a potem wszczął z nim rozmowę, która od czasu do czasu przechodziła nawet w serdeczniejsze tony. Pani Luiza niewiele z niej rozumiała. Wzrok jej ślizgał się po rozwieszonych na ścianach portretach prezydentów i znaczących generałów państwa polskiego. Niektóre twarze znała z ilustracji niemieckich. Oficer przywołał jednego z żołnierzy i wydał mu jakieś krótkie dyspozycje, potem oglądali ze Strogowem mapę i spierali się o coś zawzięcie. Uderzał ją przyjacielski ton, z jakim obydwaj rozmawiali, niemniej dziwiło ją, że Strogow, jako rosjanin, tak biegle włada językiem polskim. Za chwilę żołnierz wniósł do pokoju biały obrus i bardzo prymitywne nakrycie do śniadania.

— Pan porucznik jest na tyle uprzejmy, — objaśniał Strogow, — że nie chce wypuścić nas stąd bez śniadania.

Skwapliwie przyjęła propozycję. Zapach kawy drażnił jej nozdrza, a świeże masło i wiejski chleb przykuwały oczy. Dawno nie widziała tego w Berlinie.

— Państwo po sterylizowanem mleku i sucharkach berlińskich napewno chętnie wypiją polską kawę, — zapraszał uprzejmie oficer, pokazując ciągle swoje białe, zdrowe zęby.

Podziękowała mu spojrzeniem. Oficer skwapliwie wypytywał się o stosunki, jakie panują w Berlinie. Dziwił się niezmiernie, że naród niemiecki, który ma wśród siebie tylu wielkich uczonych lekarzy i chemików, nie był w stanie w ciągu tak długiego czasu opanować epidemji. Cóż dopiero byłoby u nas, gdzie ani nasza wiedza lekarska, ani chemja nie stoi tak wysoko, jak w Niemczech... — mówił z poważnym zaniepokojeniem.

Strogow tłumaczył, że epidemja miała tak zagadkowe przyczyny, iż trudno było rozpocząć z nią racjonalną walkę. Wybuchła w miejscu, gdzie najmniej jej się spodziewano, — w klinice chirurgicznej. Potem rozszerzała się jak płomień po całym mieście, mowy wprost nie było o zlokalizowaniu strasznej choroby. Potem Strogow opowiadał o strasznych stosunkach, jakie obecnie panują w całej niemal Brandenburgji.

W opowiadaniu Strogowa dźwięczało jednak tyle niedomówień i tajemniczych zwrotów że oficer ze zdziwieniem patrzył na niego. Wreszcie Strogow urwał swoje opowiadanie i przeszedł na temat dalszej podróży. Dziś w południe spodziewał się być w Poznaniu, gdzie zamierzał kilka dni odpocząć po uciążliwej podróży. Oficer radził im jechać przez Gniezno, którądy droga była dalsza, ale gościniec dla automobili znacznie lepszy. Strogow zgodził się na tę propozycję.

Gdy pierwsze promienie słońca uderzyły o szyby, zaczęli się żegnać z oficerem, dziękując mu serdecznie za gościnę.

Zaledwie wyszli na próg domu owionął ich miły zapach budzącej się ze snu ziemi. Promienie słońca były jakieś cieplejsze, wlewały w duszę spokój i otuchę.

— Budzi się wiosna, — szepnął Strogow, wciągając zachłannie w nozdrza zapach ziemi.

— Czy jest pan rolnikiem? — spytał z uśmiechem oficer, patrząc, z jakim skupieniem twarz Strogowa wita pierwszy wiosenny podmuch.

— Byłem nim kiedyś. Niestety od tylu już lat musiałem się przekształcić w mieszczucha.

— Patrz, już nawet orzą... — powiedziała zachwycona baronowa Teitelberg.

O kilkadziesiąt kroków od niej para koni ciągnęła malutki pług, który jakiś stary wie-

śniak prowadził wprawna ręką. Oczy wszystkich trojga długo śledziły każde poruszenie skiby.

— Wiesz Dymitr, uważam to za dobry prognostyk na przyszłość, — powiedziała, patrząc mu z ufnością w oczy.

— Takich prognostyków szczęścia spotkacie państwo po drodze więcej, — powiedział oficer, który zrozumiał tych kilka słów po niemiecku. Polska jest krajem rolniczym i gdzie spojrzysz tam pług. Zresztą już połowa marca...

Strogow wyciągnął zegarek. Była ósma, najwyższy czas odjazdu. Z trudem przywołali szofera, który otoczony kilku żołnierzami popijał wojskową kawę i opowiadał swoje smutne przeżycia berlińskie. Słuchali go ze współczuciem.

Robert był w doskonałym humorze. Do końca kawy, potem nalał wody do chłodnika i zaczął krzątać się koło drobnych naprawek w motorze. Twarz i każdy ruch szofera świadczyły o wewnętrznym zadowoleniu, aż Strogow zdziwiony był tym dobrym humorem i spytał:

— Z czego się tak cieszysz, Robert?

— Cieszę się, bo to szczerzy i dobrzy ludzie, — odpowiedział bez wahania. Dali mi zjeść świeżego, ciepłego jeszcze chleba, którego tyle czasu na oczy nie widziałem w Berlinie. A potem przyjemnie jest pomówić z ludźmi... U nas jeden ucieka przed drugim, boi się, czy niema bakcyli w kieszeniach... Tu jakoś inaczej...

Strogow uśmiechnął się i patrzył jak szofer wycierał oliwę ze świec. Wkrótce przygotowania do dalszej drogi były już ukończone. Robert zapalił motor. Pożegnali oficera uprzejmym uśmiechem i ruszyli w dalszą drogę.

Strogow uchylił wentylator w dachu limuzyny. Powiew świeżego powietrza wdarł się do wnętrza automobilu, chłodził twarz i płuca. Pani Luiza patrzyła przez okno z zaciekawieniem, obserwując pierwsze roboty polne, którym błogosławiły promienie wiosennego słońca.

— Miło jest tutaj, — szepnęła, rozpinając futro.

— Pierwsze tchnienie wiosny, za dwa tygodnie już Wielkanoc...

— Doprawdy, w Berlinie nawet nie myślałam o tem, nie zastanawiałam się nigdy, czy to zima, czy lato. Zdawało mi się ciągle, że jeden ponury dzień podobny będzie do drugiego i że tak będzie, aż do końca życia, — westchnęła z żalem.

— Rozumiem twój nastrój. W naszych oczach zamierało miasto przez szereg tygodni. Twój apartament w „Adlonie“ przypominał już jakąś skrzynię izolacyjną... Jedyne ten ostatni wieczór na Grunwaldzie, wizyta doktora Hiwi i ta gwiazdzista noc były jakimś jaśniejszym promykiem w szarzyźnie ostatniego miesiąca. Tak pragnąłem wyrwać cię stamtąd...

— Czy byłbyś wyjechał bezemnie?



— Nie. Ale gdybyś była dalej ociągala się, byłbym cię uprowadził.

Zaczęła się śmiać, a potem spojrzała niedowierzająco w oczy towarzysza. W oczach tych przebijała powaga.

— W jaki sposób chciałeś to uczynić? — spytała.

Nie potrzebuję teraz, gdy wyjechałaś, odsłaniać ci planu... Zapewniam cię jednak, że wszystko było przygotowane. Wyjechałaś jednak dobrowolnie i tem sprawiłaś mi tak wielką radość.

Chciał ją pocałować w usta, uchyliła się jednak zrećźnie.

— Czekaj, musisz mi wytłumaczyć jeszcze niektóre rzeczy, których nie rozumiem, — mówiła z przekorną miną. — Powiedz mi, dlaczego nie zatrzymano nas na pograniczu i nie umieszczono w barakach? Przecież takie zarządzenie byłoby nawet zrozumiałe dla bezpieczeństwa Polski.

— Liczyłem się z tą możliwością. Dlatego wziąłem od przewodniczącego misji dla zwalczania epidemji w Niemczech poświadczenie, że jesteśmy zabezpieczeni od wszelkich zarazków, albowiem wzięliśmy potrzebną ilość zastrzyknień ochronnych. Takie samo poświadczenie otrzymałem od przedstawicielstwa polskiego w Berlinie z prośbą, aby patrole graniczne nie utrudniały nam wjazdu. Oprócz

tego napisałem przed kilku dniami list do jednego z wyższych oficerów sztabowych w Warszawie z prośbą, aby interwenjował u władz w naszej sprawie. Oficer na granicy oświadczył mi, że przed dwoma dniami otrzymał już z Warszawy polecenie ułatwienia nam wjazdu do Polski. Jak widzisz więc uczyniłem wszystko możliwe, aby tylko uchronić ciebie przed niespodzianką...

— Więc te zastrzyki, które otrzymałam od doktora Hiwi, to był „Caisit“?

— Tak.

— Dlaczego japończyk nie mówił mi tego?

— Nie wiem, może nie pytałeś go o to...

— Pytałam. Dał mi jednak tak niewyraźną odpowiedź...

— Gdy będzie w Warszawie, pociągniesz go za to do odpowiedzialności.

Pani Luiza milczała, widocznie niezadowolona z tak niejasnej odpowiedzi. Potem spytała znowu:

— Czy żołnierze na pograniczu, to Niemcy?

— Skądże znowu. Są to wyłącznie Polacy. Żadne przecież państwo nie byłoby tak lekkomyślne, aby na pograniczu stawiać potrole obcej narodowości.

— A dlaczego władają tak doskonale językiem niemieckim?

— Pochodzą oni, z wyjątkiem porucznika, który jest obywatelem wschodnich kresów Polski,

z dawnego zaboru pruskiego. Tu musieli się dawniej uczyć po niemiecku. Przed dwunastu jeszcze laty niebezpiecznie było przyznawać się tu do polskości. Słowo „Polak“ wymawiało się z trwogą na ustach. Za nie katowano dzieci w szkole, za to słowo odbierano rodzinom ziemię, którą od dziada pradziada posiadali...

— Przesadzasz.

— Zapewniam cię, że mówię szczerą prawdę.

I Strogow tłumaczył swojej towarzyszcze bezprawy fakt zaboru ziemi polskiej, opowiadał jej o strasznych czasach Fryderyka Wielkiego i polityki Bismarcka. „Ausrotten,“ — było to jedyne hasło, które stosowano wobec polaków na roli, w handlu i przemyśle. Ucisk ten był tak straszny, że piętnowały go wszystkie państwa cywilizowane na ziemi.

Słuchała z zainteresowaniem. Nie miała pojęcia, że naród niemiecki w czasie wielkiego rozwoju kultury, nawet w dwudziestym wieku mógł drapieżność i zaborczość swoją posunąć aż tak daleko i ubierać ją jeszcze w formę legalnej ustawy. W oczach jej zaczął naród, który teraz spokojnie orał i siał swoje zagony w promieniach wiosennego słońca, nabierać nimbu jakiegoś męczeństwa i bohaterstwa. A Strogow opowiadał jej dalej o Wrześni, o wozie Drzymały, o podziemnej pracy narodu polskiego, który nigdy nie tracił wiary w swoją

wolność. Opisał jej wreszcie krwawe walki, jakie stoczyć musiał naród gnębiony, wyrzucając ciemiężycieli z odwiecznych swoich ziem.

— Lepiej zrozumiesz to, gdy będziemy już w Poznaniu... Tam dopiero zobaczysz ślady wielkiej pracy i kultury narodu polskiego. Ale równocześnie zobaczysz tam i kamienne twierdze drapieżnej hydry, która nazywała się H.-K.-T. Dopiero w Poznaniu unaoczni ci się ta straszna krzywda i zbrodnia, jaką naród niemiecki popełnił na Polakach.

Opowiadanie Strogowa, którego słuchała z takim zainteresowaniem, poruszyło ją do głębi. Patrzyła przez lustrzane szyby limuzyny na małe, czyste wsie i miasteczka i coraz większą czuła dla nich sympatję.

Spojrzała ukradkiem na towarzysza podróży, na twarzy Strogowa malował się jakiś smutek, skupienie i upór. Zrozumiała, że człowiek ten, choć obcy Polakom, jednak litował się nad twardą i krwawą dolą tego ludu. Dziwiła się niezmiernie, że żyła tak długo i tak blisko tej ziemi, a nie wiedziała nic o haniebnej przemocy i gwałcie...

Siedzieli obok siebie wpatrzeni w jednostajną równinę, przeciętą białą linią gościńca i milcząco przeżywali swoje wrażenia. Wreszcie Strogow ocknął się z zamyślenia...

— Nie jesteś zmęczona? — spytał troskliwie.

— Nie.

— Całą noc nie spałaś.

— To nie, wyśpię się w Poznaniu...

Rozstawił przedni fotel, tak, aby swobodnie mogła na nim ułożyć nogi, potem starannie otulił ją futrem.

Ciepłe promienie słońca i miły powiew wiatru rozmarzały ją coraz bardziej. Niepokój, jaki czuła przed przekroczeniem granicy polskiej rozviał się teraz zupełnie, nerwy jej rozprężyły się. Było jej ciepło i tak dobrze, że bała się poruszyć. Krajobraz zaczął coraz bardziej przemieniać się w jej oczach w jednostajną taśmę pól, przeplataną białymi plamami domków. Wreszcie powieki zaczęły ciężyc, postanowiła przymknąć je tylko na chwilę. Z trudem podniosła je raz jeszcze i zobaczyła błękitną tafle jeziora. Potem sen ją zmorzył.

Automobil piał się ku górze.

Milczenie i równy oddech towarzyszki zaczęły działać usypiająco na Strogowa. Ale on bronił się zawzięcie przed snem. Wyjął papierosa, zapalił go i patrzył jak przez niedomkniętą szybę prąd powietrza rozganiał niebieskie smugi dymu i gwałtownie wypędzał je w pola.

Spojrzał na zegary i tachometr automobilowy. Szybkość przekraczała dziewięćdziesiąt kilometrów.

— Dzielny chłop z tego Roberta — pomyślał.  
— Szesnaście godzin bez przerwy siedzi przy kierownicy...

Wytrwałość szofera zaczęła mu imponować. Z zadowoleniem patrzył na jego szerokie bary, przykryte grubym włosiem futra i na spokojny ruch rąk na kole kierownicy.

Nagle Robert wyłączył gaz i wóz zaczął cicho opuszczać się w dół gościńca. Strogow zobaczył olbrzymie wieżycy tumu gnieźnieńskiego, które wylaniały się z niebieskiej mgły, jak dwa potężne ramiona, wyciągające się błagalnie ku Bogu.

Spojrzał na zegarek: dochodziła pierwsza. Zdjął z haczyka mikrofon i zawołał przyciszonym głosem, aby nie zbudzić baronowej:

— Hallo, Robert!! Wystarczy ci benzyny do Poznania?

Szofer usłyszał pytanie, odpowiedział twierdzącym skinieniem głowy.

— A wody w chłodniku zmieniać nie potrzebujesz?

Szofer zaprzeczył ruchem głowy i gestem ręki. Wtedy Strogow wydał krótkie polecenie:

— Nie zatrzymuj się w Gnieźnie, jedź prosto do Poznania. Tam odpoczniemy doskonale.

Gdy mijali ulice Gniezna i przejeżdżali obok tumu, Strogow odsonił głowę, uczynił znak krzyża i z rozróżnieniem patrzył na stare mury świątyni, pokrytej patyną wieków.

Za Gniezmem, Strogow wyciągnął się na wygodnych poduszkach automobilu i próbował usnąć. Ale sen nie nadchodził, bo czarne łuki jego brwi ściągały się od czasu do czasu nerwowo nad czołem. Myśli jego zdawały się pracować gorączkowo.

Słońce zachodziło już za chmury, gdy opony automobilowe uderzyły o nierówne kostki bruku przedmieścia poznańskiego. Strogow otworzył oczy i spostrzegł, że są na Chwaliszewie. Ujął mikrofon i zaczął dokładnie szoferowi wskazywać kierunek jazdy. Teraz automobil posuwał się wolno jak żółw, przeciskając się z trudem wśród wąskich ulic przedmieścia.

Wolny ruch automobilu obudził baronową. Otworzyła oczy i patrzyła ze zdziwieniem na niskie, gęsto rozsiane domki.

— Gdzie jesteście, — spytała zaniepokojona.

— W Poznaniu, Luizo.

— Tak prędko.

— Spałaś całą drogę, — mówił, uśmiechając się. Przyjechaliśmy do Poznania o dwie godziny później, niż planowałem. Ponieważ jednak nie mamy żadnego terminowego interesu, więc te dwie godziny możemy Robertowi darować.

Z ciekawością patrzyła przez szybę automobilu, widziała jak małe domki zaczynają się przemieniać w wysokie kamienice, a ciasne uliczki rozszerzać w coraz szersze i ruchliwsze

arterje miasta. Słuchała z zaciekawieniem, gdy Strogow tłumaczył jej pochodzenie niektórych przedmieść, historyczną rozbudowę miasta od starego do nowego Poznania.

— Tak dawno nie widziałam już ożywionego ruchu na ulicy, — mówiła, nie mogąc ukryć zadowolenia. Doprawdy, że teraz błogosławię chwilę, w której wyjechałam z Berlina. W mrowisku ludzkim czuje się człowiek zawsze pewniej i lepiej. Pamiętasz jak dobrze czułam się w hotelu „Adlon“ tego dnia, w którym wywiozłeś mnie z Grunewaldu?

Nagle Strogow zatrzymał automobil przed olbrzymim białym gmachem, który wyglądał jak monumentalna budowla na tle olbrzymiego placu, odgraniczzonego kwadratem pięknych kamienic.

— A gdzie teraz jesteśmy? — spytała.

— Na razie u krańca podróży. Tu jest hotel „Bazar.“ W Poznaniu zatrzymamy się przynajmniej trzy dni.

Służba otworzyła drzwiczki automobilu, pomogła im wysiąść. Teraz dopiero baronowa Teitelberg czuła, jak bardzo zmęczyła ją podróż. Nogi jej były bezwładne, każdy krok sprawiał jej niebywałą trudność. W uszach słyszała monotony i dokuczliwy trzask motoru. Na twarz wystąpiły gorączkowe rumieńce.

— Cała jestem oszołomiona tą jazdą, — skarżyła się swemu towarzyszowi.



Strogow ujął ją delikatnie pod ramię i wprowadził do olbrzymiego hallu hotelowego. Usiadła jak bezwolne dziecko w wygodnym fotelu i czekała, aż Strogow załatwi formalności z portjerem.

Załatwienie formalności nie trwało widocznie długo, bo po kilku już minutach Strogow wrócił do hallu.

— Wynająłem dla ciebie mały, ale miły apartament, — mówił z radością. Nie będzie to wprawdzie luksus hotelu Adlon, ale gwarantuję, że odpoczniesz porządnie...

Perspektywa odpoczynku wydała się pani Luizie tak pożądaną, że odzyskała siły i nie czekając na Strogowa, kazała się zaprowadzić do pokoju. Z zadowoleniem patrzyła na białe fałe pościeli, które służba hotelowa układała na wygodnym łóżku. Za chwilę Robert przy pomocy kilku boyów wniósł skórzane walizy. Kazała pokojówce przygotować kąpiel i w oczekiwaniu na Strogowa podeszła do okna.

Na Placu Wolności kłębiły się tłumy publiczności. Ruch i ożywienie znać było na każdym kroku. Patrzyła na ten ruchliwy plac z prawdziwą radością. Nie spostrzegła nawet, że służba wysunęła się cicho z pokoju, a tuż obok niej stał Strogow tak cicho, jakby bał się przerywać jej zamyślenie.

— Dziękuję ci Dymitr, że sprowadziłeś mnie tu między ludzi. Nie czuję się tak opuszczona i bezsilna, — mówiła, a w oczach jej jaśniały błyski szczęścia.

— Wdzięczność swoją musisz mi jednak Luizo w jakiś sposób udowodnić czynem, — mówił żartobliwie. Za wszystkie moje starania i trudy żądam pewnej zapłaty....

— Byleby nie była za wysoka... — uśmiechnęła się przekornie.

— Zrób mi tę łaskę i dzisiejszego wieczoru, nim zejdziemy do sali restauracyjnej, zmień czarną żałobną suknię...

— Dlaczego zależy ci na tém? — spytała zaciekawiona.

— Pragnę, aby wszystkie przykre wspomnienia zostały tam w willi na Grunewaldzie, jak w żałobnem mauzoleum.

Prosząco patrzył jej w oczy. Potem ucałował jej ręce z radością, jakby z góry wiedział, że nie odmówi prośbie.

## ROZDZIAŁ VI.

### NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE.

Berlin wracał powoli do życia. Na opustoszałych niedawno ulicach, rozpoczynał się ruch, początkowo nieśmiały, zalękniony. Ludzie wychodzili ze swych domów, jeszcze lękliwie, jakby tylko dla sprawdzenia, że miasto nie wymarło zupełnie i że nietylko oni zdołali ocalić swe życie.

Od dwóch dni zaczęły już nawet wychodzić dodatki nadzwyczajne pism z radosną wiadomością, że epidemja wygasa, a wypadki śmiertelności w mieście są coraz mniejsze. Równocześnie z pocieszającą statystyką, pisma berlińskie nie mogły znaleźć dość słów zachwytu i uwielbienia, dla misji japońskiej, która nie zważając na niebezpieczeństwa, poświęciła cały swój trud i wysiłek dla ocalenia Niemiec. Słowa serdecznej wdzięczności padały szczególnie pod adresem szefa tej misji, doktora Hiwi, który w szereg bezsennych nocy poszukiwał środków, któreby zniszczyły śmiertelne bakcyle.

Na ulicy nie mówiono o niczem innem, jak tylko o „Caisicie“ i genialnym wynalazcy tego zbawczego środka. Przed hotelem „Adlon“ ustawiły się gęste tłumy ludzi, które wzniosły okrzyki na cześć uczonego. Manifestacje te dosięgły punktu kulminacyjnego, gdy w gazetach berlińskich pojawiła się wiadomość, że doktor Hiwi, po spełnieniu swej humanitarnej misji, zamierza opuścić stolicę Niemiec. Wszyscy chcieli choć zdaleka ujrzeć swojego zbawcę, chcieli zmanifestować swoją wdzięczność.

Ale doktor Hiwi, jakby unikał słów podziękowań i uznania. Rano wyjeżdżał do baraków w Charlottenburgu, gdzie zajęty był ostatnim etapem swej zawziętej walki z epidemją i dopiero późnym wieczorem wracał do hotelu. Lekarz japoński odmówił nawet korespondentom pism wywiadu i usilnie prosił, aby nie umieszczano w gazetach jego podobizny. Tłumaczono to wrodzoną skromnością uczonego.

„Zbawca Niemiec“ opuścił tak cicho Berlin, że gazety dopiero na drugi dzień zdołały donieść o jego wyjeździe.

Mimo iż życie Berlina wracało wolno w normalne łożysko, radca policji Blindow nie rozstawał się z myślą opuszczenia Berlina, choćby na jakiś dłuższy okres czasu.

W sercu starego detektywa zrodziła się dziwna nienawiść do miasta, które zabrało mu

syna. Od miesiąca unikał ludzi i przetrwał ból i rozpacz w czterech ścianach swojego pokoju. Plecy Blindowa pochyliły się głęboko, chód stał się ciężki, oczy, które dawniej tliły niesamowitym blaskiem życia, jakby spelzły i zmatowiały. Wyglądał jak mechanizm, w którym rozprężyły się wszystkie śruby i kółka.

Od czasu do czasu, przychodził Blindow jeszcze do swego pokoju w prezydjum policji. Ale teraz, wzrok starego urzędnika ślizgał się obojętnie po stosie akt i nowych doniesień, jakby nie tyczyły się one pracy, w której do niedawna tak był zamięłowany. Nieraz całymi godzinami siedział w skórzanym fotelu i widać było, że odnawia tylko dawne wspomnienia i pragnie z nich zaczerpnąć nową energję do życia.

I dziś Blindow przyszedł niezwykle wczesnie do swego gabinetu. Odsunął obojętnie korespondencję, gdy nagle wpadła mu do rąk duża koperta z nieudolnie napisanym jego adresem. Szybko rozerwał kopertę, Był to dokument wystawiony przez Wolne Miasto Gdańsk, zezwalający na przyjazd jego do miasta. Obok tego dokumentu umieszczony był krótki list napisany niezbyt poprawną niemczyzną.

Blindow szybko przebiegł oczyma treść pisma.

Pisał dr. Hiwi. Uczony japoński donosił, że spełnia polecenie księcia Strogowa i wysyła

obiecany dokument, zezwalający na pobyt w Gdańsku. Równocześnie doktor Hiwi prosi, aby stary detektyw zechciał odwiedzić go w Gdańsku przy Langgasse Nr. 10.

List i dokument ucieszył radcę policji. Po kilku miesiącach samotności, które wydawały mu się wiecznością, uzyskał wreszcie możność zobaczenia żony i dzieci. Postanowił nie odwlekać ani chwili wyjazdu i zaraz zgłosić się u prezydenta policji z prośbą o urlop.

Szybko wstał z fotela i zawołał woźnego.

— Czy pan prezydent Hauken w biurze?

— W tej chwili przyjechał automobilem, — odpowiedział służący zdziwiony nagłym ozywieniem na twarzy radcy.

Na tę wiadomość Blindow z gorączkowemi wypiekami na twarzy biegł przez kręte korytarze, kierując się do gabinetu Haukena. W przedpokoju zawahał się jednak chwilę.

— A może nie udzieli mi urlopu? — pomyślał.

Wątpliwości jednak szybko przemógł i kazał woźnemu zameldować się u szefa.

Doktor Hauken zdziwił się niemało widokiem swego podwładnego.

— Cóż radcę sprowadza do mnie? — spytał prezydent, witając go serdecznie. Nie dawniej jak wczoraj zastanawiałem się nad tem, że obydwaj już będziemy musieli przejść na emery-

ture z powodu starości, bo los nie szczędzi nas w ciągu ostatnich tygodni... ale teraz widzę pana, jakby odmłodzonego...

— Odmłodziła mnie nadzieja, panie prezydencie, — odpowiedział szybko Blindow.

— Nadzieja?

— Tak. Nadzieja lepszej przyszłości...

Prezydent Hauken opuścił nagle głowę i szepnął bezdźwięcznym, matowym głosem:

— Dla mnie ona zgasła na zawsze...

Blindow spojrział uważnie na prezydenta. Teraz dopiero spostrzegł, że rysy twarzy Haukena wyostrzyły się, nabrały cech, jakby drapieżności, czerstwe dawniej policzki zapadły się głęboko, a skóra przypominała rozlany wosk. Ze współczuciem spojrział Blindow na pobielale skronie przełożonego.

— Prawda... Ja tylko syna, a pan prezydent brata i dwoje dzieci...

Powieki Haukena drgnęły niespokojnie, potem szybko otworzyły się, odsłaniając powiększone strachem źrenice.

— Tak, dwoje dzieci i brata, — powtórzył jak echo. — Ale co pan życzy sobie odemnie? —

— Przyszedłem z prośbą o tygodniowy urlop. Pragnę wyjechać do Gdańska, gdzie przebywa moja żona i dzieci. Wobec stłumienia epidemji chcę ich przewieźć z powrotem do Berlina i przerwać tę nieznośną samotność na stare lata...

Pozwolenie wyjazdu do Gdańska już mam... Wszystko zależy tylko od urlopu, — mówił szybko, podsuwając prezydentowi pismo senatu gdańskiego.

Hauken spojrział obojętnie na papier, automatycznym ruchem odsunął szufladę biurka, wyjął z niej blankiet urlopu i wolno zaczął go wypełniać. Blindow zauważył, że oczy prezydenta były jakby nieprzytomne i przesłonięte mgłą.

— Niepotrzebnie przypominałem mu tę bolesną stratę, — czynił sobie Blindow gorzkie wyrzuty.

Hauken podpisał urlop, wycisnął na blankiecie olbrzymią pieczęć urzędową i podał dokument detektywowi.

— Udzielam panu czternaście dni urlopu. Równocześnie jednak chcę pana pożegnać i podziękować za tak niezwykle gorliwą współpracę, jaką mi pan dawał...

— Ależ panie prezydencie...

— Tak, panie Blindow.. podałem się już na emeryturę, ostatni miesiąc zrobił ze mnie osiemdziesięcioletniego starca. Uważam, że stanowisko moje w prezydjum policji muszę oddać bardziej energicznemu człowiekowi. Ja już jestem lachmanem...

Blindow chciał uścisnąć serdecznie rękę swego przełożonego i podziękować mu za urlop, ale dłoń Haukena była tak zimna, że wypuścił ją



szybko, miał wrażenie, że dotknął bryły lodu. Potem odwrócił się ku drzwiom, ale Hauken zatrzymał go jeszcze ruchem ręki.

— Więc na starość nie będzie pan tak samotny jak ja, ma pan żonę i dzieci?...

— Tak, panie prezydencie.

Głowa Haukena opadła bezwładnie na zimne dłonie. Blindow usłyszał przejmujący szloch. Szybko zamknął drzwi za sobą i wybiegł na korytarz.

— Biedny człowiek, rzeczywiście łachman ludzki... Niepotrzebnie wyrwałem się z tym bratem i dziećmi, — czynił sobie gorzkie wymówki.

Zaledwie radca policji wszedł do swego pokoju, połączył się z biurem Henera i prosił o przywołanie do telefonu agenta Glasgiera.

— Panie Glasgier, — mówił z pośpiechem do mikrofonu. Dziś otrzymałem od senatu gdańskiego pozwolenie na przyjazd. Zawdzięczam to znajomościom, jakie poczyniłem w willi Teitelberga na Grunewaldzie. W kieszeni mam czternasto-dniowy urlop, podpisany przez Haukena. Za trzy godziny opuszczam Berlin. Panu powierzam opiekę nad moim mieszkaniem. Klucz zostawiam u stróżowej. Proszę zajrzeć tam codziennie i skontrolować, czy złodzieje nie wynoszą moich mebli. W imię tyloletniej współpracy z panem, proszę o tę drobną przysługę.

Potem kilku cieplejszemi słowami pożegnał Blindow agenta i szybko wybiegł z gmachu prezydium policji.

Za godzinę olbrzymi, popielaty automobil służbowy unosił starego detektywa w kierunku dworca kolejowego.

Ruch na dworcu był jeszcze słaby. W olbrzymich poczekalniach i w hallu widniały jak krwawe rany znaki „Czerwonego krzyża“ i plakaty z przestrogiami i wskazówkami dla podróżnych, jak chronić się przed epidemją. Mdły, duszący zapach „Caisitu“ mieszał się z czadem węglowym, przyprawiając o mdłości. Blindow wskoczył do wagonu i z niecierpliwością czekał na chwilę, gdy wagon zachwieje się i pociąg kurjerski wynurzy się ze szklanej hali.

W wagonie kolejowym myśli Blindowa zaczęły stygnąć i układać się w pewien ład. Wyjął z kieszeni dokumenty, bacznie przypatrywał się pozwoleniu na przyjazd, w końcu przeczytał ponownie list doktora Hiwi.

— Czego japończyk chce ode mnie? — zastanawiał się głęboko. Niewątpliwie wypada podziękować mu za przysługę, którą mi wyświadczył. Gdyby nie on, byłbym jeszcze musiał tkwić w Berlinie. Zaraz jutro pojedę na Langgasse, możliwe jednak, że go już nie zastanę, bo coby ten genialny lekarz robił tak długo w tem małym, portowem mieście?...

Gdy pociąg ruszył, Blindow zaczął obojętnie patrzeć na monotonną okolicę skąpaną w świetle promieni słonecznych. Potem myśli jego pobiegły do Gdańska, do rodziny i rozmyślał nad tem, jak kobiety przygotować na tragiczną wiadomość o śmierci syna.

Sprawa nie była łatwą. Żona od kilku lat cierpiała na serce, mogłaby życiem przypłacić tragiczną wiadomość, a Blindow wiedział, że pierwsze jej słowo powitania, będzie pytanie o losy syna.

— Czy mam skłamać? — myślał z niepokojem.

Pewny był, że wzruszenie zaraz u wstępu zdławi jego słowa. Nie będzie w stanie okłamywać. Zdradzi się natychmiast. A wtedy co?

Twarz ściągnęła się mu pod wpływem bolesnego skurczu. Wsunął się głębiej w poduszki wagonu, przymknął powieki.

Gdy otworzył oczy i spojrział przez szybę wagonu, spostrzegł, że horyzont zaczyna tonąć w gęstej mgle, a światło dnia coraz bardziej gaśnie i ucieka. Kontury odległych domów zaczęły się coraz bardziej zacierać.

Pociąg kurjerski pędził z coraz większą siłą, jakby wrzynał się w powietrze i z nieznośnym stukiem przebiegał przez zwrotnice. Uczucie pędu rozdrażniało jeszcze bardziej obolałe nerwy starego detektywa.

Nagle doleciał go zapach dymu tytoniowego. Spojrzał w kąt wagonu i zobaczył postać jakiegoś mężczyzny. Twarzy nie mógł dojrzeć, bo przesłonięta była gazetą, z pod zadrukowanego papieru unosiły się tylko kłęby, niebieskiego dymu.

— Kiedy ten człowiek wszedł do przedziału? — dziwił się Blindow. Przypomniawszy sobie dokładnie, że w Berlinie wsiadł do zupełnie pustego wagonu, a potem, mimo iż słuch ma doskonały, nie zauważył, aby ktoś odsuwał drzwi. Na siatce nad głową nieznajomego umieszczona była silnie zniszczona, impregnowana walizka z bardzo prymitywnymi okuciami.

Postać nieznajomego coraz silniej przykuwała uwagę detektywa. Oparł się znów o poduszki, jakby drzemał, ale przez niedomknięte powieki śledził każdy ruch towarzysza podróży.

Widział dokładnie jego czarne kamasze, o bardzo grubej podeszwie gumowej, i doskonale zaprasowane ubranie angielskie. Ręce nieznajomego obciążone były popielatą rękawiczką z grubej duńskiej skóry. Z pod mankietu wyglądała ciemna skóra rąk. Obok na kołku wisiało palto z pięknym, lśniącym kołnierzem bobrowym.

Blindow zaciekawilo przedewszystkiem to, że nieznajomy mimo silnego zmroku czytał pilnie drobny druk „Frankfurter Zeitung.“

— Musi mieć znakomite oczy. — myślał radca.

Nagle spostrzegł w środku gazety wypalony w papierze cygarem otwór. To ubawiło go serdecznie. Zrozumiał, że nieznajomy ma na celu obserwować każdy jego ruch.

— Wybił sobie okienko, — pomyślał i z większem jeszcze zainteresowaniem wpatrywał się na nieruchomą płachtę zadrukowanego papieru.

Postać nieznajomego zaczęła go jednak tak bardzo intrygować, że postanowił za wszelką cenę spojrzeć w oczy swemu towarzyszowi.

Radca policji udał, że zbudził się z głębokiej drzemki, spokojnym ruchem wyjął z kieszeni skórkową papierośnicę, obciął starannie cygaro i zaczął bezskutecznie szukać zapalek po kieszeniach. Za chwilę zaprzestał poszukiwań i zwrócił się z uprzejmym uśmiechem w kierunku nieznajomego.

— Czy mogę prosić pana o zapalkę?

Płachta zadrukowanego papieru ani drgnęła. Wtedy Blindow spojrział na drzwi przedziału. Klamki były zamknięte, — spojrział na hamulec bezpieczeństwa, — osadzona na dźwigni plomba uspokoiła go zupełnie. Wtedy zwrócił się jeszcze raz z prośbą do nieznajomego.

Towarzysz podróży odsunął gazetę, wyjął z kieszeni srebrną zapalniczkę i spokojnie podał ją detektywowi. Blindow zaciągnął się cygarem i utkwiał oczy w twarzy nieznajomego.

Był to mężczyzna około czterdziestoletni, niskiego wzrostu, niezwykle krępy. Ciemna skóra twarzy i silnie wystające kości policzkowe upodabniały go do mulata. Ze spokojnymi linjami twarzy stały jednak w dziwnej sprzeczności czarne oczy, które błyszczały jak karbunkuly z pod gęstych łuków brwi. Cała postać zdradzała niezwykłą siłę i pewność siebie.

Blindow zwrócił z podziękowaniem zapalniczkę i spojrzał na ręce tajemniczego pasażera. Olbrzymie muskularne ręce o wybitnie krótkich palcach przysłaniały rękawiczki. Popielatą skórę duńską rozdymały pierścienie, umieszczone na palcach.

— Za te wspaniałe pierścienie prawdopodobnie nie wiele by otrzymał u jubilera, więcej u rusznikarza... — pomyślał Blindow, przekonany, że pierścienie nieznanego potrafiłyby doskonale zastąpić stalowy bokser.

Dokładna obserwacja tajemniczego pasażera naprowadziła jednak Blindowa na to, że gdzieś już spotkał się z tym człowiekiem. Gorączkowo przerzucał w myślach znane mu typy berlińskie. Wreszcie starał się nawiązać rozmowę:

— Czy daleko pan jedzie? — spytał Blindow uprzejmie.

— Kilka stacji, — odburknął niechętnie towarzysz podróży.

— Widocznie często musi pan podróżować...  
— zagadnął detektyw, niezrażony nieuprzejmą odpowiedzią.

— Z czego pan to wnosi?

— Poznaje po zniszczonej walizce...

W oczach pasażera błysły niespokojne iskry, z wyraźną niechęcią spojrzął na urzędnika policji i burknął:

— Za to pan, widocznie rzadko podróżuje...

Śpi pan w pociągu tak spokojnie, że można pana wynieść wraz z walizkami...

— Czyste sumienie, — odparł ze swobodnym uśmiechem Blindow.

Tymczasem służba kolejowa zapaliła w wagonie lampy. Potok jasnego światła przywrócił staremu detektywowi możliwość chłodnego rozumowania. Przypomniawszy sobie, że przygodny jego towarzysz, uderzająco podobny jest do znanego wśród szumowin Berlina, awanturnika i atlety, który grasował pod popularną nazwą: „Ommy.“ Skąd ten człowiek przywędrował nad Sprewę, nikt dokładnie nie wiedział. Jedni twierdzili, że pochodził on z Rumunii, drudzy, że z zamorskich kolonji niemieckich. Prawdopodobnie jednak był to Włoch. Wskazywało na to jego nazwisko: Rudolf Ommino. Ommy pracował czasem jako robotnik portowy, częściej jednak zaczął się o łatwiejszy chleb i podróżował jako atleta i żongler

z podrzędnymi cyrkami po południowych Niemczech. W burzliwej swojej karierze życiowej, Ommy niejednokrotnie otarł się o kratę więzienną. Raz posądzony o jakieś morderstwo rabunkowe, to znów o kradzież mieszkaniową, którą popełniono w sposób iście akrobatyczny, bo przez wdrapanie się po fasadzie domu do mieszkania na czwartym piętrze. Ommy potrafił jednak zawsze uniknąć karzącej ręki sprawiedliwości. Władzom bezpieczeństwa udawało się czasem tylko na mocy poszlak osadzać tego niebieskiego ptaka na jakiś czas w więzieniu. Po kilku już dniach, Ommy opuszczał celę więzienną z powodu braku dowodów winy.

— Ommy, czy nie Ommy? — biedził się Blindow nad rozwiązaniem zagadki i nie spuszczał oka z tajemniczego pasażera. Doostatnie jednak ubranie nieznanego i futro z bobrowym kołnierzem, przemawiało przeciw podejrzeniom detektywa.

— Jeśli Ommy, to widocznie zrobił jakiś „kokosowy interes,” — myślał detektyw, gubiąc się w domysłach.

Tymczasem pociąg zwalniał biegu. Głuche uderzenia kół o spojenia szyn stawały się coraz rzadsze, wreszcie pociąg wjechał w aleję lamp, sygnałów i zatrzymał się w hallu dużego dworca. Blindow niedosłyszawszy nazwy stacji, wstał i szukał oczami napisu. Po kilku sekun-



dach usłyszał za swojemi plecami głuchoe trzasknięcie drzwiami wagonu. Szybko odwrócił się od okna i spostrzegł, że jego towarzysz podróży znikł wraz z walizką z przedziału. Tylko na poduszkach wagonu leżał starannie złożony numer „Frankfurter Zeitung“.

Detektyw wrócił ku oknu i oczami szukał nieznanego w zwartej ciżbie pasażerów. Na peronie tłum ludzki pchał się w kierunku wyjścia. Pasażerowie wymijając się i potrącając, cisnęli się do podziemnego tunelu. Blindow kontrolował oczami zbitą masę ludzką. Nagle w tłumie mignął mu przed oczyma niski człowiek w palcie z bobrowym kołnierzem. Blindow rozpoznał w nim towarzysza podróży. Pasażer zmieszał się z tłumem i wyłonił się dopiero w przejściu do tunelu. Zanim jednak wszedł w ciemną czeluść, złożył detektywowi głęboki ukłon. Blindow odpowiedział niemem skinieniem głowy.

Teraz Blindow był już pewny, że tajemniczym podróżnym nie mógł być nikt inny, tylko Ommy.

— W jakim jednak celu śledził mnie ten człowiek? — spytał sam siebie, raczej pod wpływem zaciekawienia niż niepokoju i bezwiednie sięgnął po numer „Frankfurter Zeitung“. Rozwinął olbrzymi arkusz gazety zadrukowany małemi czcionkami. W środku ga-

zety spostrzegł natychmiast otwór z brązowym otokiem, przez który niedawno tajemniczy pasażer obserwował go z taką ciekawością.

Blindow chciał już z powrotem rzucić gazetę na poduszki przedziału, gdy nagle spostrzegł obok nagłówka, jakieś notatki kreślone ołówkiem. Przeczytał je szybko. Były to małe kolumny cyfr, a obok nich tych kilka słów:

„Miałem odprowadzić pana tylko do Eberwalde, ale w tak miłym towarzystwie przejechałem się, aż do Angiermünde, skąd mam lepsze połączenie kolejowe. Radzę panu odwiedzić doktora Hiwi w Gdańsku natychmiast po przyjeździe do Wolnego Miasta“...

Blindow wpatrywał się w nierówne litery skreślone na papierze i zastanawiał się nad znaczeniem tej notatki. Zrozumiał natychmiast, że osaczony jest jakąś tajemniczą szajką. Ani chwili nie wątpił, że Ommy miał obowiązek śledzić cel jego podróży. Widocznie szajce zależało na tem, aby wyjechał z Berlina, w czasie bowiem jego nieobecności planowano pewnie jakiś zbrodniczy zamach... Najwięcej jednak dziwiło detektywa wplątanie nazwiska znanego lekarza i uczonego japońskiego w sprawę. Możliwe, że list, który otrzymał od doktora Hiwi wraz z pozwoleniem wyjazdu dostał się wcześniej w ręce szajki, zanim dotarł do jego rąk i stąd zbrodniarze poinformowani byli o celu

jego podróży. Blindow zaczął nawet podejrzewać woźnego policyjnego, czy nie był w zmo-wie z tajemniczymi osobnikami.

Tymczasem pociąg ruszył z Angermünde i wkrótce rozpoczął swój spieszny bieg.

Myśli starego detektywa pracowały jednak dalej nad rozwiązaniem zagadki. W kombi-nacjach swoich szedł stary radca, aż tak daleko, iż zaczął podejrywać, że Ommy był członkiem zbrodniczej szajki, która dokonała dwukrotnie krwawego morderstwa w willi na Grunewaldzie. Zupełnie prawdopodobne wydawało mu się teraz, że szajka ta obawiała się w jego obecno-ści dokonać jeszcze jednego najścia na willę Teitelberga. Możliwe wydawało mu się również, że złoczyńcy obawiali się w czasie jego obecno-ści wywieźć tajemniczą walizkę z Berlina, aby nie natknąć się na jego agentów, któremi w osta-tnich czasach silnie obstarwił dworzec kolejowy i zamiejskie rogatki.

Podejrzenia te wydały się staremu detekty-wowi tak trafne, że uważał wprost za pewnik, iż obecny wyjazd jego do Gdańska unicestwi raz na zawsze możliwość rozwiązania zagadki na Grunewaldzie.

Wracać jednak było niepodobna. Pozwo-lenie wjazdu do Gdańska musiało być wyko-rzystane w ciągu trzech dni. Dalsza zwłoka groziła utratą ważności dokumentu. W ciągu

zaś dwóch dni Blindow nie spodziewał się rozwiązać tajemniczej sprawy, która od czterech miesięcy stale wymykała się z jego rąk. Teraz czynił sobie tylko gorzkie wyrzuty, że tak łatwo pozwolił zniknąć w Angermünde tajemniczemu podróżnemu. Po zatrzymaniu go można było dojść do reszty zbrodniczej szajki... Niestety, ptaszek był sprytniejszy i wymknął mu się poprostu z rąk, nie pozostawiając żadnych za sobą śladów...

Sprawa zbrodni na Grunewaldzie odżyła znowu w pamięci starego detektywa, zaczął analizować każdy jej szczegół i zatopił się tak głęboko w myślach, że nie spostrzegł nawet, iż zbliża się stacja, na której miał przesiąść do pociągu gdańskiego. Dopiero wejście konduktora zbudziło Blindowa z zamyślenia. Szybko przygotował swoje walizki i skierował się ku wyjściu.

Pociąg wjeżdżał na stację.

W Falkenburg pozostało Blindowowi kilka minut czasu dla przejścia tunelu i przesiadania do pociągu tranzytowego w kierunku Hammerstein—Chojnice do Gdańska. Stary detektyw całą siłą swych łokci i mięśni przedarł się przez tłum do wagonu. Gdy znalazł się już w przedziale, ogarnęła go nagle senność i zmęczenie. Z małej walizki wydobyl pled i poduszkę i ułożył się wygodnie na wyścielonych ławkach wagonu.

Wkrótce usłyszał głucho uderzanie kół wagonu o relsy, Pociąg coraz szybciej wrzynał się w przestrzeń, jakby z wściekłością skracał przestrzeń dzielącą go od granicy Polski. Blindow całym wysiłkiem swej woli, starał się nastawić jeszcze raz swoje myśli na przygodę z tajemniczym pasażerem i na tragiczne wypadki na Grunewaldzie, ale obrazy zaczęły się w jego głowie coraz bardziej mieszać, myśli stały się coraz oporniejsze i wkrótce zmorzył go twardy sen.

Zbudziły go dopiero pierwsze promienie słońca, które przedzierały się przez spocone szyby wagonu. Pociąg biegł przez polskie terytorjum.

Blindow z uwagą patrzył na zaorane pola, na schludne białe miasteczka i kominy małych fabryk. Nagle uczuł tęsknotę za powietrzem, uchylił okno. Do wnętrza przedziału zaczęły się przemykać kłęby chłodnego powietrza. Blindow chciwie wdychował je w płuca. Żałował, że pola i miasteczka o tej porze nie są uprawne w zieleni. Tak dawno nie widział wsi, chyba w czasach swojej młodości. Życie trzymało go ustawicznie w kamiennych i betonowych korytach ulic Berlina... Zawsze między domem a biurem... Codziennie ta sama męcząca i nerwowa pogoń za przestępcami po spelunkach, domach noclegowych, hotelach, barach i kawiarniach... Zbyt wiele czasu strawił

w życiu na ocieranie się o występki i chorą moralność ludzką, a za mało chwil pozostało dla rzeczy dobrych i pięknych... Żal mu było straconych lat.

Było już południe, gdy pociąg kurjerski wpadł na dworzec gdański. Przez okno wagonu zauważył już Blindow, że policja i władze sanitarne Wolnego Miasta kontrolują dokładnie dokumenty i przepustki podróżnych. Szybko wydobył swoje dokumenty i wręczył je urzędnikowi. Przepuszczono go do izby celnej bez żadnych trudności.

W poczekalniach i korytarzach dworca tłumy ciekawych przypatrywały się przybyszom z Niemiec. Wypytywano ich o wypadki ostatnich dni, o znajomych i krewnych, którzy nie mogli wydostać się z kraju, nad którym szalała fala epidemji. Blindow zbył kilku opryskliwymi słowami ciekawych i wkrótce przedostał się przed zajazd dworca. Kilku tragarzy starało się uchwycić jego małe walizki, ale detektyw zdołał się przed nimi obronić i dotarł do dorożki automobilowej.

— Langgasse 10! — rzucił szoferowi i zdziwił się bardzo, że adres ten szybciej przemknął się przez jego usta, aniżeli Schiedlitz, dzielnica, w której mieszkała jego rodzina.

— Widocznie jakaś wyższa siła kieruje mnie... — myślał z uśmiechem.

W automobilu spojrział jeszcze raz na adres doktora Hiwi, upewnił się, że mieszka na drugim piętrze, drzwi numer 12.

Dom na Langgasse, była to stara kamienica, pamiętająca czasy przystąpienia Gdańska do związku hanzeatyckiego, a może nawet czasy zakonu krzyżackiego.

Nie bez pewnego wzruszenia wszedł Blindow w wąską czeluść bramy i skierował się w skąpem świetle ku klatce schodowej.

— Właściwie, po co ja tu idę? — pytał sam siebie, — możliwie, że dobrowolnie włożę w jakąś zasadzkę...

Ale jakaś podświadoma siła pchała go w kierunku schodów. Odruchowo tylko sięgnął do kieszeni, aby się przekonać, czy ma rewolwer w kieszeni. Potem spokojnie zaczął wspinać się ku górze.

Przeszedł czysty, wąski korytarz i z łatwością odnalazł na drugim piętrze drzwi, nad którymi widniała tabliczka z wypisaną liczbą „dwanaście“. Długo szukał dzwonka. Nie znalazł jednak i zastukał palcem w drzwi.

Pukanie Blindowa odbiło się głuchem echem w wąskich, kamiennych korytarzach. Kamienica wydawała się jakby wymarła.

Po długiej chwili do uszu starego detektywa doszedł odgłos kroków i ktoś otworzył zatrząsk

Blindow wszedł do przedpokoju i spostrzegł przez sobą jakiegoś niskiego człowieka.

— Czy tu mieszka pan doktor Hiwi? — spytał Blindow.

— Tu, — odpowiedział uprzejmie mężczyzna. — Jak mam pana zameldować doktorowi?

— Radca policji Blindow z Berlina.

— Doskonale, o ile mi wiadomo, doktor Hiwi oczekuje pana niecierpliwie.

Potem młody człowiek zaprowadził detektywa do niskiego, mrocznego pokoju, w którym ustawione były staroświeckie meble.

Blindow z ciekawością rozglądał się po mieszkaniu i zauważył, że niema tu ani jednego zbędnego przedmiotu. W powietrzu unosił się duszny zapach, który przypominał niewietrzoną szafę. Zdziwiły tylko detektywa mocne okratowania wąskich okien.

Upłynęło zaledwie kilka minut, gdy drzwi sąsiedniego pokoju otwarły się i ukazał się w nich doktor Hiwi. Oczy lekarza przysłaniały ciemne, punktalowe okulary w rogowej oprawie. Cienkie wąsy nadawały twarzy uczonego wyrazu zniechęcenia, tylko na ustach błąkał się uprzejmy i zagadkowy uśmiech.

— Chcę najpierw przeprosić pana, że ośmieliłem się go trudzić... — powiedział japończyk, wskazując gościowi uprzejmie krzesło. Chciałem jednak przekonać się, czy zlecenie, które otrzymałem od księcia Strogowa, wykonałem ściśle. Cieszę się, widząc pana w Gdańsku...



Doktór Hiwi wyjął papierośnicę i poczęstował gościa cygarem hawańskim.

Blindow wyczuł jakąś fałszywą nutę w głosie gospodarza i dlatego z podwójną ostrożnością patrzył na drobną, ale niezwykle krępą postać japończyka. Intrygowała go coraz bardziej sylwetka uczonego, obciśnięta w dobrze skrojone, ale jakby nieco za ciasne ubranie. Wreszcie oczy detektywa spoczęły na żyłastych rękach japończyka. Paznokcie doktora Hiwi były niezwykle starannie utrzymane.

Japończyk domyślił się, że gość obserwuje go z zaciekawieniem, bo milcząco poddawał się oględzinom. Nie cofał nawet ręki, na której tkwił ustawicznie wzrok starego urzędnika policji. W oczach Blindowa zaczęły nagle grać stalowe blaski.

— A ja chciałem podziękować panu doktorowi, — zaczął nagle Blindow nieswoim głosem — za trud, jaki dla mnie pan poniósł... Dzięki panu znalazłem się obok swej rodziny, za którą w ostatnich czasach tak bardzo tęskniłem. Spieszyłem bardzo...

— Widzę, wprost z pociągu przybył pan do mnie, na Langgasse — uśmiechnął się doktor Hiwi.

— Ma pan rację, przybyłem wprost z pociągu, aby podziękować za wyświadczoną mi przysługę... — mówił Blindow, a głos jego zaczął się niesamowicie załamywać.

— Tą przysługą, — przerwał doktor Hiwi — chciałem panu wynagrodzić drobną przykrość, jaką mimowoli panu niegdyś wyrządziłem... Zresztą uważam, że i pan domyśla się, dlaczego sprowadziłem go do swego mieszkania, — mówił spokojnie lekarz, a jego skośne oczy błędziły po grubych kratkach okna.

— Nigdy żadnej przykrości od pana nie doznałem... — rzucił detektyw, spoglądając niespokojnie na okno.

— Możliwe, — szepnął japończyk zamyślony i wydostał z kieszeni zamszową skórkę.

Nagle jednym gwałtownym ruchem zerwał doktor Hiwi z oczu olbrzymie rogowe okulary i zaczął je przecierać skórką, równocześnie cienkie wąsy znikły z jego twarzy.

Blindow zbladł i zerwał się jak pod dotknięciem prądu elektrycznego z fotelu. Ręką sięgnął do kieszeni po rewolwer.

Ale doktor Hiwi chwycił rękę detektywa i przymknął ją w swoich palcach jak w stalowych okowach. Uścisk musiał być straszny, bo Blindow zwinął się pod wpływem bólu.

— Nie chce pan chyba powtarzać raz jeszcze tej niemilej sceny z willi na Grunewaldzie, — powiedział japończyk spokojnie i puścił rękę przeciwnika.

Blindow zatoczył się kilka kroków i padł bezwładnie w fotel. Ból w ręce był tak straszny,

że staremu detektywowi zdawało się, iż ktoś tępym drutem poróżrywał mu mięśnie i żyły w ramieniu. Japończyk przysunął się blisko i spokojnie patrzył na przeciwnika. Po kilku sekundach zagadkowy uśmiech wystąpił znów na twarz doktora Hiwi.

— Niepotrzebnie objawia pan tak gwałtownie swoje uczucia dla mnie, — mówił japończyk, starając się nadać swemu głosowi jaknajbardziej uprzejmy ton. Jestem gospodarzem i chciałbym uniknąć gwałtownych scen...

— Zwabił mnie pan w zasadzkę! — krzyknął Blindow. Te zakratowane okna mają mi odciąć odwrót...

— Nie przypuszczam, aby chciał pan wychodzić oknem, gdy drzwi są otwarte...

— Więc w jakim celu zwabił mnie pan do siebie?

— Chciałem się przekonać, czy rzeczywiście jest pan w Gdańsku, — choć ta wiadomość nie bardzo była mi potrzebna. Przez cały czas jechał pan pod obserwacją mojego człowieka... Ważniejsze dla mnie to, że chciałem z panem spokojnie pomówić tutaj o niektórych sprawach. Zrozumie pan, że w Gdańsku można swobodniej mówić, aniżeli w Berlinie...

— Rozumiem, że tu czuje się pan bardziej bezpieczny i bezkarny... — przerwał z pasją detektyw.

— Więc pan sądzi, że ja zamordowałem Teitelberga? — spytał poważnie zdziwiony japończyk.

— Pewny jestem tego.

— Przyznam się, że lepszy miałem sąd o pańskich zdolnościach jako detektywa. Mogę pana zapewnić, że ja w tej sprawie rąk nie maczałem.

— Więc kto? Może mój drugi „dobroczyńca“, ksiązę Strogow...

Japończyk machnął pogardliwie ręką, potem milczał jakby się nad czymś zastanawiał, wreszcie powiedział:

— Ksiązę Strogow jest to bankrut życiowy, który nie wchodzi w grę... Ale po co właściwie wdaję się z panem w te dyskusje? Jako detektyw, dojdzie pan bez mojej pomocy do człowieka, który przeciął pasmo życia Geheimrata. Chciałem panu jedynie zwrócić uwagę na to, że w Berlinie bawi niezwykle niebezpieczny zbrodniarz, który w najbliższej przyszłości musi być unieszkodliwiony...

— Kto?

— Baron Joe Teitelberg z Augsburga, brat zamordowanego. Zapewne nie wie pan, że bracia Teitelberg pod płaszczykiem patriotyzmu niemieckiego, usunęli ze świata tysiące niewinnych ludzi z tak wielkim i pożytecznym człowiekiem na czele, jak dr. Ude. Ten wasz

uczony, którym szcyciliście się zagranicą, legł z ręki braci Teitelbergów... — mówił z gorzkim wyrzutem japończyk.

Blindow słuchał, ale jego rozszerzone źrenice wskazywały, że nie wiele rozumie z tego, co uczony japoński mówi. Twarz dr. Hiwi zmieniła już wyraz, rozsnuł się na niej smutek i przygnębienie. Położył swoją drobną rękę na ramieniu gościa.

— Nie rozumie pan moich słów... Spodziewałem się tego — mówił spokojnie japończyk. — Proszę jednak o cierpliwość, a wytłumaczę wszystko. Oskarżenia moje pod adresem braci Teitelbergów, nie są lekkomyślne, ani gołosłowne. Zbrodnicza działalność obu Geheimratów rozpoczęła się jeszcze przed dwoma laty w momencie, gdy komisje rozbrojeniowe aljan-tów niszczyły niemiecką broń żelazną. W tym czasie, w Berlinie wśród ludzi ogarniętych szałem nienawiści do zwycięzców i całego świata, powstała myśl, że nie tylko żelazo jest bronią... O wiele skuteczniejszym w walce odwetowej może być gaz i bakcyle chorobotwórcze... Na tej zasadzie powstał „Trust P. Z.“ Od dwu lat chemicy niemieccy, subwencionowani przez trust, pracują w swych laboratorjach w Nadrenji nad wynalezieniem gazów, któreby mogły w przeciągu kilku minut przemienić ludne miasta sąsiadów w wielkie, kamienne grobowce.

Mogę panu wymienić nazwiska tych uczonych i miejsca, gdzie urządzone mają laboratorja... W planach i pracach trustu nie pozostał oczywiście w cieniu „Król chemiczny“ Geheimrat Teitelberg. Człowiek ten, wraz z swoim bratem, wpadł na iście szatański pomysł. Przy olbrzymich wkładach kapitału udało im się wykryć i opanować nieznane dotychczas nauce bakterje, które ochrzcili skrótem „Cuibo“. Bakterje te, które łatwo można było wprowadzić do organizmu ludzkiego przez narządza oddechowe i błonę śluzową, wywoływały straszne spustoszenia. Przedostawały się one do limfy i krwi, a stamtąd do mlecza pancerzowego i mózgu, wywołując powolny paraliż organizmu, ślepotę, a w końcu nieodwołalną śmierć. Tajemnicy swoich straszliwych bakterji strzegł Geheimrat Adolf Teitelberg tak zazdrośnie, że nawet brata swego nie wtajemniczył całkowicie w ich działanie i sposób hodowli. „Cuibo“ przeznaczył Adolf Teitelberg dla zniszczenia znieawidzonej przez siebie Polski. Tam miało wybuchnąć pierwsze źródło zarazy i to w momencie, gdy Polska sprowokowana zostanie przez sąsiadów do wojny. W tym celu, przez podstawioną firmę „Wrończyk i Laube“ w Warszawie, postarał się Geheimrat o dostawę dla armji polskiej waty i bandaży. Oferta dla rządu polskiego była tak niska, że przypuszczam

iż baron Teitelberg liczył się z poważnemi nawet stratami materjalnemi. Gdy oferta firmy „Wronczyk i Laube“ została przyjęta przez rząd polski, wtedy Geheimrat rozpoczął nasycać bandaże i watę bakterjami „Cuibo“ i magazynował je w jednym ze swoich składów, o którym sam tylko wiedział. Przed czterema miesiącami przyszedł wreszcie moment dogodny dla wysyłki... Wówczas to Litwa, pod naciskiem Niemiec, sprowokowała Polskę. Wyowiedzenie wojny stawało się wprost nieuniknione. Baron Teitelberg przystąpił zaraz do swego zbrodniczego dzieła... Część bakterji zamierzał przemycić do Warszawy w specjalnie skonstruowanej walizce, część zaś miała odejść pociągiem ciężarowym w bandażach i balach waty chirurgicznej. W ten sposób chciał baron Teitelberg ubezpieczyć się, że bakterje dojdą, gdyby nawet skutek działań wojennych, transportu wagonowego nie odebrano. I nagle w momencie, gdy piekielny plan był bliski urzeczywistnienia, jakaś tajemnicza ręka zamknęła zbrodniarza w kasie ogniotrwałej i uniosła jego walizkę. Wata nasycona „Cuibo“ pozostała w składach, których tajemnicę wziął Geheimrat ze sobą do grobu.

Po tragicznej śmierci brata, Geheimrat Joe Teitelberg z Augsburga w lot pojął niebezpieczeństwo. Przyjechał do Berlina i wszczął

natychmiast gorączkowe poszukiwania za zbrodniczą wysyłką. Niestety i w Berlinie, i w Nadrenji obijał się bezowocnie, jak óma o zamknięte szyby. Adolf Teitelberg przechowywał bandażę i watę właśnie tam, gdzie się tego najmniej spodziewano... I dlatego też z taką łatwością nieświadomie wydano ją dla kliniki chirurgicznej. Tam też najpierw wybuchła zaraza.

W ten sposób zawiązany został pierwszy akt tragedji, w którym ja nie brałem najmniejszego udziału...

Doktór Hiwi zapalił zagasłe cygaro i milczał długą chwilę. Prawdopodobnie wypoczywał przed dalszym ciągiem opowiadania. Blindow z zaciekawieniem śledził twarz uczonego, jakby z niej chciał wyczytać, jaką rolę odegrał ten egzotyczny lekarz w dalszym splocie tragicznych wypadków.

— Widzę, że niecierpliwi pana moje milczenie, — rozpoczął znów Dr. Hiwi i bolesny uśmiech rozchylił jego wąskie usta. — Mogę jednak z góry upewnić pana, że moja rola nie miała nic wspólnego z ustawą karną. Wystąpiłem właściwie na widownię dopiero wtedy, gdy epidemia z zacieklą złośliwością szalała na ulicach Berlina. Czasów tych nie potrzebuję panu przypominać, zbyt świeżemi jeszcze barwami malują się one przed nami. W tragicznym momencie wybuchu zarazy w klinice chirurgicznej,



przystąpiłem wraz z innymi lekarzami do akcji ratowniczej. Przyznam, że moja praca była nieco ułatwiona, gdyż ta sama tajemnicza ręka która uśmierciła Adolfa Teitelberga, doręczyła mi walizkę z bakterjami z prośbą, bym ratował Berlin przed zagładą. Nie szczędziłem wysiłków, ani energii. Czyniłem wszystko, co było w mojej ludzkiej mocy. aby epidemja nie przedostała się poza mury szpitalne. Tajemnicę bakterji „Cuibo“ starałem się zgłębić, aby móc stanąć z nimi do skutecznej walki. Niestety, wszystko szło opornie. Bakterji nie mogłem odkryć, ani pod mikroskopem, ani nie zdołałem je hodować na żadnej pożywce. Wtedy zwróciłem się o pomoc do człowieka, który doniósł mi o niebezpieczeństwie zarazy i doręczył walizkę, by on przeszukał zapiski w biurku zamordowanego i przyniósł je do mnie. Przyrzekł to uczynić, lecz przyniósł mi bezwartościowe notatki. Wtedy sam, na własną rękę, rozpocząłem poszukiwania w gabinecie barona Teitelberga. I wtedy nastąpiło między panem a mną to tragiczne starcie w ciemnościach. Odebrałem panu wszystkie papiery i notatki, gdyż nie znając pana, podejrzewałem, że właśnie pan wyciągnął z biurka zamordowanego klucz do rozwiązania tajemnicy. Niestety, oprócz zapisek dotyczących się przestępstw kryminalnych, nic w pańskiej kieszeni nie znalazłem. Przez za-

ufanego japończyka zwróciłem panu bezzwłocznie wszystko i wysłałem list z przeproszeniem. Czy dziś żywi pan jeszcze żal do mnie z powodu tego smutnego zajścia? — spytał dr. Hiwi, wyciągając rękę do swego gościa.

Blindow uściśnął drobną dłoń japończyka, a wtedy lekarz mówił dalej:

— Nie znalazłem nic w zapiskach pana, ale znalazłem kilka mętnych wskazówek w tajnej szufladzie biurka Geheimrata. Rzuciłem się wtedy gorączkowo do pracy, by znaleźć sposób zlokalizowania epidemji. Z duszy i serca pragnąłem uchronić naród niemiecki od tej katastrofy, którą zgotowali mu obłądni przywódcy. Tymczasem czas naglił. Każdy dzień potęgował cyfrę chorych. Wreszcie musiałem rozpocząć badać tajemnicę zmarłego z innej strony. Na mocy doświadczeń odkryłem, że miazga z mózgu, względnie z rdzenia pacierzowego człowieka, który zmarł na straszną chorobę, wstrzyknięta królikowi, wywoływała śmierć wśród objawów powoli przebiegającego porażenia. Przekonałem się następnie, że miazga z mózgu i rdzenia tych sztucznie zakażonych zwierząt, wstrzyknięta innym zwierzętom, wywołuje te same objawy. Miazgę taką z zakażonego zwierzęcia podałem wysuszeniu i zmiełoną rozpylałem w szklanej klatce z królikami. Zwierzęta padały wśród objawów porażenia,

Podczas tych doświadczeń, mijaly mi bezsenne noce, niestety bez możności wynalezienia środka który zabiłby niebezpieczne bakcyle. Nieraz, chciałem młotkiem rozbić mikroskop, potłuc próbówki i uciec z Berlina... Były to jednak chwile słabości. Z właściwą swej rasie cierpliwością i uporem, wracałem potem ze zdwojoną energją do pracy. Wreszcie udało mi się stworzyć środek chemiczny, jako zastrzyk dordzeniowy, który zwyciężył mikroby. Równocześnie wypowiedziałem walkę bakterjom w powietrzu przez rozpylanie „Caisitu“. Wynalazek swój wprowadziłem bezzwłocznie w życie nietylko w Berlinie i w Niemczech, ale przekazałem go natychmiast sąsiednim państwom, szczególnie w Polsce w celu ochrony. W końcu przeczekalem w stolicy Niemiec do błogosławionej chwili przełamania epidemji. Potem wyjechałem, uważając misję swoją za skończoną.

„Teraz zna pan rolę, jaką odegrałem w wielkiej tragedji.. Nie sądzę, by stała w sprzeczności z ustawą karną. Nawet drakoński sąd wybaczyłby moje nocne wizyty na Grunewaldzie, tak, jak pan wybaczył mi przed chwilą niemile zajście w gabinecie Teitelberga. Gdy moja rola już jest skończona, uważam, że powinna się rozpocząć pańska gra... O tem właśnie chciałem z panem pomówić w Gdańsku. Otóż Geheimrat Adolf Teitelberg stoi już przed sądem Boga, pozostał jednak

drugi zbrodniarz: — Joe Teitelberg. Ten łotr nie powinien ująć zasłużonej karze. Obowiązkiem pana, jako urzędnika policji, jest ujawnienie jego winy i pociągnięcie go do odpowiedzialności za śmierć miliona ludzi. Ja dostarczę wszystkich potrzebnych dowodów. Pan się waha...?”

Blindow wglębił się w fotel, głowa zapadła mu w ramiona, plecy zgięły się w pałąk. Oczy detektywa z pod błyszczących szkieł patrzyły apatycznie w przestrzeń.

— Jestem za słaby dla ścigania Teitelberga...  
— szepnął Blindow nieśmiało.

— Więc wasze państwo odróżnia małych zbrodniarzy, których się ściga, od wielkich, którzy są nietykalni...? — przerwał porywczo dr. Hiwi.

— Względy polityczne i interes państwa...  
— starał się usprawiedliwić radca policji.

Japończyk wybuchnął nieszczerym śmiechem, który przypominał szczekanie psa. Niesamowita nuta śmiechu przyprawiała Blindowa o dreszcz.

— Jeśli względy polityczne zmuszają pana do zatajenia zbrodni i złamania honoru urzędnika to pozwoli pan, że przypomnę mu szczegół, który wyleciał mi z pamięci: z rąk Teitelberga zginął w pełni sił człowiek, który wyciągał swoje młode ramiona do życia i słońca. Człowiek ten nazywał się Rotgier Blindow!

Strzał był celny. Z ust starca, jak z płuc rannego zwierza wy dobył się chrapliwy, prze-

ciągly jęk. Blindow rozkrzyżował ramiona w obawie, by nie runąć z fotelu na dywan. Z pomarszczonej jego twarzy odpłynęła krew, tylko szczęki jego drgały nerwowo.

— Rotgier Blindow umierał niemal na moich rękach, — przyciszonym głosem mówił japończyk, nachylając się wprost do ucha starca. Był zupełnie ślepy, ale przytomny... Wzywał pana do ostatniego swojego tchu... Błagał, by pozwolono mu przed śmiercią jeszcze przycisnąć do ust spracowaną rękę ojca... Chwile konania zmarłego były straszne. Wiedział, że umiera...

Ręce Blindowa splotły się jak do modlitwy, błagał, by japończyk przestał dokonywać wiwi-sekji na jego zbalołem sceru ojcowskim.

— Rotgier...! Rotgier...! — wyrывało się chrapliwe rżenie z ust starca. Zbolała głowa ojca usunęła się wreszcie poza poręcz fotela.

Gdy Blindow oprzytomniał, spostrzegł, że znajduje się sam w pokoju. Chwilę jeszcze siedział nieruchomo w fotelu, drżąc z osłabienia. Czekał na powrót japończyka. Chciał go wypytać o bliższe szczegóły śmierci syna. Uplewały jednak długie, jak wieczność, minuty, a dr. Hiwi nie wracał. Wreszcie starzec zwlókł się z fotela i chwiejnym krokiem przeszedł przez pokój. W mieszkaniu panowała niepokojąca cisza. Blindow słyszał odgłos własnych kroków, jak uderzenia drewna w podłogę.

Po upływie kwadransa, oczekiwanie stało się dla niego tak nieznośne, że postanowił zapukać do drzwi następnego pokoju. Stukanie okazało się bezcelowe. Dr. Hiwi nie wychodził. Wobec tego Blindow ostrożnie nacisnął klamkę i uchylił drzwi. W następnym pokoju nie było nikogo.

Starzec wyszedł do mrocznego przedpokoju i tam jeszcze chwilę oczekiwał na powrót gospodarza. Skoro cisza dalej panowała w mieszkaniu, Blindow ubrał się w palto i wysunął na korytarz. Gdy mijał schody pierwszego piętra, na zakręcie korytarza spostrzegł starszą, ciemno ubraną kobietę. Zbliżył się do niej:

— Czy mogłaby mnie pani poinformować, kto mieszka na drugim piętrze?

— Ten dom jest moją własnością, — mówiła staruszka z wybitnie pruskim akcentem. Wynajmuję w nim pokoje dla przyjezdnych. Na drugim piętrze mieszkam ja i jakiś pan Segner, handlarz drzewny z Polski. Wczoraj jednak wypowiedział mieszkanie i dziś przed godziną prawdopodobnie wyjechał z Gdańska. Czy życzy pan sobie wynająć po nim pokój?...

— Segner? — powtórzył bezmyślnie Blindow. Potem wzruszył ramionami i wolno zaczął zstępować ze schodów, jak człowiek, na którego barki zwałił się zbyt wielki ciężar.

Właścicielka domu patrzyła mocno zdziwiona na starego oryginała.

## ROZDZIAŁ VII.

### ZBURZONE PLANY.

W Teatrze Wielkim w Warszawie dobiegał do końca ostatni akt „Tristana i Izoldy“. Kilka akordów orkiestry wstrząsnęło jeszcze widownią, potem umilkły, jak white w ziemię. Kurtyna wolno zaczęła się opuszczać, a główny żyrandol zajaśniał pełnem światłem. Zwarta masa ludzka zakołysała się lekko, z krzeseł padły pierwsze oklaski, które wkrótce przemieniły się w istną burzę dziękczynną dla artystów. Publiczność wywoływała swoich ulubieńców przed rampę sceny.

Po kilku minutach entuzjazm przełamał się i publiczność zaczęła cisnąć się ku wyjściu.

Strogow pomagał pani Luizie przebić się przez falę ludzką i bacznie uważał, by ktoś nie potracił jego towarzyszki. W oczach baronowej błyszczały jeszcze iskry zadowolenia, a na błądą twarz wystąpił rumieniec emocji. Przeżywała prawdopodobnie w dalszym ciągu losy bohaterów starogermańskiego mitu.

— Doprawdy nie przypuszczałam, — mówiła prawie szeptem, — że w stolicy Polski potrafią tak pięknie wystawić Wagnerowską operę. Jestem zachwycona...

Strogow uśmiechnął się pobłażliwie i ujął swoją towarzyszkę mocniej pod ramię.

Docisnęli się do garderoby. Strogow otulił panią Luizę w miękki płaszcz szynszylowy. Szybko ubrał się w palto i popłynęli wraz z falą ludzką ku wyjściu.

Mimo późnej godziny, plac Teatralny kąpał się w falach jasnego światła, które spływały obfitą strugą z kandelabrow ulicznych. Od strony ulicy Wierzbowej i Bielańskiej, jarzyły się barwne światła reklam dancingów i kine-teatrów. Strogow chciał przywołać dorożkę, ale pani Luiza wstrzymała go za ramię.

— Pójdziemy pieszo, — prosiła. — Pogoda taka piękna, chcę się przejść trochę...

— Nie pójdziemy do „Sawoyu“? — spytał zdziwiony.

— Wolę zjeść kolację u siebie w hotelu. Po „Tristanie i Izoldzie“ nie chcę wsłuchiwać się w wrzask jazz-bandu.

Masz rację.

Szli w kierunku Placu Saskiego. Tłumy ludzi przesuwaly się przez ulice Warszawy. U zbiegu Ossolińskich musieli czekać długą chwilę na wolne przejście w zwartej kolumnie automobili



i dorożek. Pani Luiza patrzyła z radością na ten żywy, pstry korowód ludzki, cieszyła się, że i ona w nim uczestniczy.

— Wiesz Dymitrze, Warszawa to doprawdy piękne miasto. Tylko te restauracje i hotele już mi obrzydły. Pragnę bardziej ustatkowanego życia...

— Piliśmy życie zbyt wielkimi haustami, — przyznał Strogow. Żyliśmy w ostatnich tygodniach jedynie w teatrach, restauracjach i dancingach, nie dziw więc, że teraz następuje przesilenie... Ale trudno, po kilku miesiącach spędzonych w pustyni berlińskiej musieliśmy nacieszyć się życiem i hałasem, Powinnaś jednak rozważyć moją propozycję... Interesy zatrzymają mnie dłuższy czas w Warszawie. Możemy tu urządzić sobie mieszkanie, takie właśnie, jakie pragniesz: miłe, spokojne, wygodne. Wierzę w to, że szczęście w nim zagości... Dziś nawet w „Cristalu“ proponował mi jeden ze znajomych sprzedaż mieszkania w Alei Szucho. Chyba nie masz powodu dłużej zwlekać...

— Muszę jeszcze ochłonąć po ostatnich przeżyciach... — szepnęła cicho i przeskoczyła na inny temat rozmowy.

Strogow zrozumiał, że pragnie uniknąć drażliwej rozmowy na temat wspólnego mieszkania. Nie nalegał i przeszedł do wrażeń przeżytych w teatrze.

Weszli do olbrzymiego hallu w hotelu „Bristol“. Portjer podał usłudźnie pani Luizie klucz od jej mieszkania i zawiadomił Strogowa:

— Jakiś pan kilkakrotnie zgłaszał się tu do hotelu w jakimś pilnym interesie do pana. Zostawił swoją kartę.

Strogow spojrział na bilet, zbladł i szybko schował go do kieszeni. Na jego twarzy odmalowało się silne zmieszanie.

— Wyglądasz zaniepokojony, — zauważyła baronowa Teitelberg. Kto był ten pan?

Rzucił jakąś wymijającą odpowiedź. Domyśliła się natychmiast, że skłamał. Potem jakby chciał zyskać na czasie, zaczął się usprawiedliwiać:

— Za chwilę będę u ciebie, tylko zamówię kolację.

I nie czekając na odpowiedź, skierował się do szklanych drzwi restauracji, z poza których przeciskały się do hallu dźwięki jazz-bandu.

Pani Luiza stała chwilę wpatrzona w drzwi, za którymi znikł jej przyjaciel, potem zażądała od boya, by przewiózł ją windą na pierwsze piętro. Weszła do swego apartamentu, zadzwoniła na pokojową, by pomogła jej przebrać się w inną suknię. Czuła silne zmęczenie. To ustawiczne, od kilku miesięcy trwające życie hotelowe, dokuczyło jej silnie. Myśl o własnem mieszkaniu wydawała jej się teraz coraz bardziej ponętną.

Trudno jej jednak było zgodzić się na propozycję Strogowa. Czowała, że przyjaciel jej, w ostatnich czasach skrzętnie coś przed nią ukrywa. Choćby nawet ta scena na dole z biletem... Tajemniczość Strogowa tworzyła w ostatnich dniach niemiłą przeszkodę w ich wzajemnym stosunku. Tyle razy prosiła go, aby zwierzył się ze swojomi troskami. Niestety zawsze bezskutecznie.

Pani Luiza od dłuższego czasu obserwowwała, że jej przyjaciel mociuje się sam ze sobą, otwiera usta, jakby chciał jej coś powiedzieć i nagle zaciną się, milknie i wybiega do miasta pod pozorem interesów, w które ona nie wierzyła. Za tę tajemniczość czuła głęboki żal do Strogowa. Dała mu przecież dowody swej miłości i przywiązania, wybierając się z nim w daleką podróż do kraju, którego nie знаła. Dlaczego więc jej nie ufa...?

Początkowo myślała, że Strogow walczy z kłopotami pieniężnymi, chciała mu nawet przyjść z pomocą. Udowodnił jednak, że rozporządza poważną gotówką. Najbardziej gniewało panią Luizę, gdy Dymitr udawał przed nią doskonały humor i podniecał się sam swoim sztucznym śmiechem, jakby chciał coś w sobie zagłuszyć. Wtedy pani Luiza wołała już raczej, by przyznał się przed nią do zbrodni, aniżeli, by dłużej odgrywał jakąś niesamowitą rolę. Scena z bi-

letem wpłynęła ostatecznie na nią decydująco. Postanowiła za wszelką cenę dziś poważnie rozmówić się z przyjacielem.

Zaledwie pokojówka podała pani Luizie szlafrok, Strogow zapukał do drzwi.

— Doskonały był twój pomysł Luizo, — mówił dziwnie podniecony, — zjemy raz wreszcie kolację poza krzykliwą salą restauracyjną.

Pani Luiza wyczuła, że znowu udaje dobry humor i zbyt głośnym zachowaniem stara się odwrócić jej uwagę od swego zdenerwowania. Dlatego też, gdy pokojówka usunęła się z pokoju, ujęła go za rękę i z niezwykłą u siebie stanowczością prosiła:

— Dymitrze! Twoja tajemniczość w Warszawie zaczyna mnie już dławić. Wiem, że odwiedził cię ktoś, kogo niebardzo spodziewałeś się, a może nawet chciałbyś uniknąć spotkania z nim. Na moje pytanie dałeś mi w hallu tak wymijającą odpowiedź, że czuję się nią nawet dotknięta...

— Ależ Luizo...

— Proszę cię, nie przerywaj. Nie rozumiesz chyba, że właśnie ta nieznośna sytuacja odracza moją decyzję pozostania w Warszawie. Nie chcę, abyś tu coś przedemną ukrywał. Dopóki nie wyzbędziesz się tych ustawicznych niedomówień, nie żądam stanowczej odpowiedzi... Dlaczego na przykład nie pokazałeś mi biletu, który przed chwilą oddał ci portjer?

Strogow wyjął z kieszeni kartę wizytową i niechętnie wręczył ją przyjaciółce. Rzuciła wzrokiem na bilet i w oczach jej odmalowało się zdziwienie. Na bilecie wydrukowane było nazwisko doktora Hiwi.

— Jakto, nie cieszysz się przyjazdem naszego doktora? — spytała urażona.

Odwrócił głowę, jakby bał się spojrzeć jej w oczy.

— Ale wytłumacz, dlaczego?

— Dlatego, — mówił unikając jej wzroku — że w okresie szczęścia, jaki z tobą przeżywałem, zapomniałem, że czas płynie i przychodzi termin dotrzymania zobowiązań. Ciężko mi je wykonać.

— Nie rozumiem...

— Zrozum, że doktor Hiwi przyszedł się dziś upomnąć o duszę Strogowa... zaśmiał się nieswoim głosem.

Zamilkli, bo rozległo się ciche pukanie do drzwi.

Wszedł kelner, niosąc na tacy zamówione zakąski. Milcząc czekali, aż ustawi kolację na stole. Tymczasem pani Luiza obserwowała swego przyjaciela. Chodził głęboko zamyślony po pokoju. Wodziła za nim wzrokiem i teraz dopiero spostrzegła, że jej przyjaciel w ostatnich tygodniach znacznie się zmienił. W powodzi wypadków i wrażeń nie miała wolnej chwili, by nad tem się zastanowić. Dopiero w tej chwili

zauważyła, że skóra na twarzy Dymitra zagięła się w głęboki fałd, który nadawał ustom wyrazu goryczy i sarkazmu. Skronie jego pobielaly silnie. Tyle srebrnego pyłu we włosach nie miał na raucie u Lenckych...

— Czem się ten człowiek zamartwia? — myślała, patrząc z współczuciem na kochanka.

Gdy kelner wyszedł z pokoju, Strogow prze-rwał nerwową bieganinę po pokoju, zbliżył się do swej przyjaciółki i dotknął lekko jej ramienia. Przez cienki jedwab czuła, że ręka jego była zimna jak lód.

— Usiądź tu w fotelu, — prosił z kamienną rezygnacją na twarzy. — Wysłuchaj mnie, bo za kilka minut księżę Dymitr Strogow ma zostać zgilotynowany... Tam na dole czeka już na moją duszę ten „żółtek“ ze swoim uśmiechem na twarzy.

— Co ty bredzisz? — przerwała. — Masz chyba gorączkę...

— Nie obawiaj się, jestem w pełni władania umysłem. Władam nim nawet teraz lepiej jak zwykle...

Chciała zerwać się i uciekać, ale przytrzymał ją prawie siłą. Gęste krople potu wystąpiły mu na czole i zlepily włosy w kosmyki.

— Nie uciekaj, — prosił poważnie. — Musisz mnie wysłuchać do końca, bo za chwilę masz wydać wyrok. Dziś upływa termin, w

którym zobowiązałem się zdjąć maskę. Kończy się, niestety, moja maskarada... Ja nie nazywam się Strogow! Strogow pozostał w mojem mieszkaniu w Berlinie, przykuty własną niemocą do fotelu. Ty bledniesz? Nie bój się, nie jestem awanturnikiem, nie zostawię plamy na twoim honorze kobiety... Jestem pułkownikiem w wojsku polskiem, nazywam się Andrzej Raszczyk...

Po tych słowach zbladła tak, że twarz jej przypominała rzeźbę w alabastrze. Szybki oddech rozsadzał jej piersi. Patrzyła półprzytomna w twarz przyjaciela, obawiając się, że człowiek ten, wskutek jakichś ciężkich przejść moralnych, dostał nagle pomieszania zmysłów.

— Chcesz wiedzieć, dlaczego cię oszukałem?  
— **mówił cicho przez krtań zaciśniętą spazmem.**  
— Muszę ci powiedzieć dziś wszystko, bo tam na dole czyha na mnie doktor Hiwi... Więc słuchaj. Przed dwoma laty odkomenderowany zostałem jako pułkownik do służby w przedstawicielstwie polskiem w Berlinie. Rozkaz musiałem wykonać i udałem się do tego miasta, które jest kuźnią intryg i najpotworniejszych planów wobec mojej Ojczyzny. Pracowałem na posterunku z całym zapasem swej energii i swych zdolności, ale nie było miesiąca, bym nie czynił w Warszawie starań o powrót do kraju. Tak upłynął mi rok. Jednego dnia otrzy-

małem w drodze poufnej bardzo mgliste informacje o organizowaniu w Niemczech niebezpiecznej akcji przeciw Polsce. Udało mi się sprawdzić, że wiadomość ta ma pewne cechy prawdopodobieństwa. Zacząłem szukać. Szczegóły, które mozolnie z dnia na dzień zdobywałem, zaczęły układać się wreszcie w całość, która mnie przerażała. Kręciłem się ustawicznie w labiryncie jakichś dwóch liter „P. Z.“, których znaczenia nie mogłem w żaden sposób rozgryść. Dostosowywałem je do zdobytych faktów, tłumaczyłem je arytmetycznie, starałem się dojść, jaki skrót słowa lub nazwisk zawierają, niestety wszystko na próżno. Litery te prześladowały mnie w dzień i w noc, spędzały sen z moich powiek, aż wreszcie, było to z wiosną roku zeszłego, uchwyciłem bardziej realny ślad. Prowadził on do fabryk barona Teitelberga w Berlinie i Nadrenji. Nie mogąc własnymi siłami prowadzić śledztwa, przybrałem sobie kilku zaufanych ludzi do pomocy i rozłożyłem sieć obserwacji nad potentatem giełdy berlińskiej. W czasie, gdy byłaś w zeszłym roku w Biarritz, miałem już tak poważne dowody zbrodniczych planów Geheimrata, że zmuszony byłem w tej sprawie wyjechać z raportem do swojej przełożonej władzy do Warszawy. Tam otrzymałem rozkaz, niespuszczania sprawy z oka. Po powrocie do Berlina przekonałem się, że pod



...skiem nie mogę dalej występować  
...e zdemaskowany. Przybrałem więc  
...emigranta rosyjskiego, księcia Stro-  
...któremu dopomagałem w Berlinie, by nie  
...śmiercią głodową. Od niego otrzymałem  
...zyskie papiery na nazwisko księcia Strogowa.  
Pieniądze, które otrzymałem z Warszawy, i te,  
które czerpałem z własnego majątku, jak również  
arystokratyczne nazwisko, pozwoliły mi ucze-  
szczać do najbardziej wytwornego klubu. Tam  
spodziewałem się, uchwycić dalsze nici śledztwa.  
Wiedziałem, że tajemnica liter „P. Z.“ promie-  
niuje na wysokiego urzędnika ministerstwa  
dr. Rauburga, który w klubie lubił uprawiać  
hazard. W ciągu miesiąca zdołałem się zaprzy-  
jaźnić z tym człowiekiem i wymódził na nim,  
że wprowadzi mnie na parkiety salonów hra-  
biów Lenckych.

„Tam poznałem ciebie i twego męża. Roz-  
poczęła się gra na wielką skalę. Teraz miałem  
możność dojścia do znaczenia dwóch tajemni-  
czych liter i sparaliżowania zbrodniczej akcji.  
W klubie zaś rozpocząłem grać w „chemin de  
fer“. Pierwsze kilka razy przegrałem znacznie-  
szą gotówkę, potem szczęście mi dopisywało.  
Jednej nocy Rauburg przegrał do mnie po-  
ważną sumę i zobowiązał się zwrócić mi ją  
w ciągu dwudziestu czterech godzin. Wiedzia-  
łem z góry, że zobowiązaniu nie podoła. Wy-

szliśmy tego dnia razem z kimś  
mamy, widziałem, że przegrana  
do serca. Po drodze wstąpiliśmy  
siana". Dr. Rauburg pił dużo, by zalać  
Po pijanemu bredził najpotworniejsze rzeczy.  
Opowiadał mi, jako rzekomemu monarchii  
rosyjskiemu, że lada moment Polska przemie-  
niona będzie w pustynię i przestanie wciągać się  
klinem między dwa potężne państwa: Niemcy  
i Rosję. Dolewałem mu szampana i udawałem  
coraz większe zaciekawienie. Gdy wychodziliśmy  
z „Parisiana“, rozporządzałem już taką ilością  
dowodów zbrodniczej akcji „trustu P. Z.“,  
że mogłem wystąpić z jawnym oskarżeniem.

„Gdy jednak z dr. Rauburgiem uporałem  
się łatwo, to o wiele cięższą była sprawa z Ge-  
heimratem Adolfem Teitelbergiem. Człowiek  
ten otaczał się taką siecią prywatnych szpie-  
gów, że śledzenie go, dwukrotnie omal nie przy-  
płaciłem życiem. Nadto obserwację nad Ge-  
heimratem pod złą zacząłem wróżbę. Zaraz  
w salonach Lenckych poślizgnąłem się, bo oprócz  
grubo ciosanej postaci Geheimrata poznałem  
tam jego żonę piękną, subtelną kobietą, której  
postać utkwiała mi w pamięci...“

Ruszczyć przerwał na chwilę dla zacerpnięcia  
oddechu, Ręce jego nerwowo poszukiwały pa-  
pierośnicy w kieszeniach smokinga. Po długiej  
chwili znalazł ją, zaciągnął się dymem papie-

rosa. Pani Luiza siedziała bez ruchu, rozumiejąc, że jej przyjaciel nie bredzi, lecz wazkie przed nią sklada zeznania. Raszczyc staral sie spojrzec w jej oczy, ale przeslonila je glęboko rzęsami. Po chwili on zaczął mówić dalej:

— Z salonu Lenckych wyniosłem nietylko znajomość z Geheimratem, ale i twój obraz w oczach. Przeszkadzał mi on straszliwie w dalszej mojej akcji. Niejeden cios, którym chciałem ugodzić potentata giełdy, ty swoim spojrzeniem obezwładniałaś... Rozpoczęła się we mnie straszliwa walka między obowiązkiem i honorem oficera, a uczuciem człowieka. Pamiętasz ten dzień, w którym pierwszy raz wszedłem pod dach willi na Grunewaldzie? Mąż twój jakby nic nie przeczuwał. Był dla mnie niezwykle serdeczny i wylany. Wiedziałem jednak, że ta jego serdeczność jest udaną, że pragnie mnie użyć dla swoich celów. Tymczasem stosunek między tobą a mną zacieśnił się coraz bardziej. Z nici sympatji, jakie nas łączyły, wyłoniła się głęboka miłość. Ale nieublaganie nadchodził moment, w którym obowiązyany byłem jako oficer zdać raport ze swoich posunięć. Odwlekałem z tem z dnia na dzień, aż czuby drzew w waszym ogrodzie pokryły się złotem. Zaczęła się jesień...“

„Jednego dnia, gdy odwiozłem ciebie i Erikę z teatru, zatrzymałaś mnie na herbacie. Była

późna noc, gdy wyszedłem z waszego domu. Zamiast jednak skierować się do domu, poszedłem w kierunku jeziora Allensee. Był piękny wieczór, srebrne promienie księżyca łamały się w martwym lustrze jeziora. Tego wieczoru prześladowały mnie dziwne wizje. Byłem mocno niespokojny o ciebie. Wróciłem z przechadzki i długo krążyłem koło waszej willi. Nie mogłem się wyzbyć myśli, że tej nocy stanie się coś, co decydująco zaważy na losach nas obojga. Była już późna noc, a ja stałem ciągle w bocznej ulicy obserwując waszą barokową willę. Nagle zobaczyłem sylwetkę jakiegoś człowieka, który starał się wtargnąć przez okno do willi. Myślałem, że to złodziej. Czekałem jednak chwilę, by przekonać się, co uczyni. Cicho otworzył okno w parterze, tuż obok garażu i skoczył do wnętrza domu. Nie mogąc oprzeć się złym przecuciom i ja przeskoczyłem sztachety i przedostałem się do okna, za którym znikł. Okno było do połowy uchylone. Jakaś wołokowa zasłona tłumila światło. Przez wąską szczelinę spojrzałem do wnętrza. Zobaczyłem dwoje ludzi, splecionych miłosnym uściskiem. Krew uderzyła mi do głowy. Myślałem, że to ty poddajesz się pieszczotom młodego człowieka. Potem spostrzegłem swój błąd. To był Hauner i Lotti. Spokojnie oddaliłem się w głąb ogrodu. Jeszcze raz rzuciłem okiem na willę i spostrze-

głem, że na pierwszym piętrze, w gabinecie Geheimrata, pali się światło. To jasno oświetlone okno hipnotyzowało mnie jak oko cyklopa. Przypominało mi natychmiast mój obowiązek. Zatrzymałem się w ogrodzie. Po godzinie Hauner wyszedł, a światło w gabinecie twego męża jeszcze nie zgasło. Wykorzystałem tę samą drogę, którą bezwiednie wskazał mi Hauner. Wślizgnąłem się do wnętrza willi. Cały dom pogrążony był we śnie. W pierwszej chwili chciałem przez klatkę schodową przedostać się przed drzwi gabinetu twego męża. Wkrótce jednak spostrzegłem, że to jest niepotrzebne. Przez strzał kominika, jak przez olbrzymią tubę, dochodziła mnie rozmowa twego męża z jakimś człowiekiem o mocno ochryplym głosie. Omawiali w czterech ścianach gabinetu jakąś tajemniczą akcję. W miarę ich słów ogarniał mnie dreszcz przerażenia. Po kilku minutach zrozumiałem cały zbrodnicy plan. Umawiali się, że za cztery dni jeden z administratorów przemyci do mojej Ojczyzny w walizce śmiertcionośne bakterje. Słyszałem rechot ich śmiechu na górze. W pierwszej chwili chciałem przedostać się na górę, wydobyć rewolwer i zastrzelić obu zbrodniarzy. Potem doszedłem do przekonania, że to byłoby bezcelowe. Tą samą drogą wybiegłem do ogrodu, a stamtąd do miasta. Nie mogłem doczekać

się świtu... Zaraz rano pojechałem do przedstawicielstwa polskiego, gdzie odbyłem ważną konferencję. Postanowiliśmy wezwać z Paryża wypróbowanego przyjaciela Polski, znanego bakterjologa japońskiego doktora Hiwi. Wiedzieliśmy, że ten wielki uczony nie odmówi swej pomocy w tak ważnej sprawie. Potem nastąpił dalszy podział ról. Ja miałem w umówionym dniu wyrwać za wszelką cenę niebezpieczną walizkę. Podjąłem się tego, ale przyznam, że brakło mi sił do wykonania zadania. Przeszkodziła mi w obowiązku myśl o tobie. Wiedziałem, że jako morderca Adolfa Teitelberga, będę miał raz na zawsze zamknięty dostęp do twoich myśli... W tym celu udałem się do wywiadu jednego z państw obcych. Polecono mi niezwykle sprytnego człowieka, i gwarantowano, że potrafi on wykonać każde zlecenie. Znalazłem go w podrzędnej kawiarni na Coepenickstrasse. Znany tam był pod nazwiskiem „Ommy“. Za olbrzymią sumę zobowiązał się przynieść walizkę, żądał tylko, bym mu podał dokładny rozkład mieszkania i tryb życia mieszkańców. Uczyniłem zadość temu żądaniu, podałem mu dokładny plan sytuacyjny i godzinę, w której Geheimrat ma wręczyć walizkę swemu administratorowi. Chcąc zaś zyskać na swobodzie ruchów, uwiadomiłem ciebie, że wyjeżdżam do Paryża. Wyjazd swój upozo-

rowałem w tak dokładny sposób, że rzeczywiście w tych dniach w Paryżu w hotelu „Majestic“ zameldowany był ksiązę Dymitr Strogow“.

— „Przyszedeł wreszcie oznaczony wieczór, mówił z trudem Raszcyc. — — Wraz z kilku towarzyszami podwieźliśmy Ommy'ego w okolicę willi. Zatrzymaliśmy automobil w jednej z bocznych ulic i kazaliśmy zgasić reflektory. Widziałem, jak Ommy w kostjumie pilota przeskoczył parkan i wkrađł się do ogrodu willi. Czekaliśmy godzinę, a może i dłużej w skupieniu na jego powrót. Każda minuta oczekiwania zdawała mi się wiecznością. Modliłem się w myślach, by wyprawa Ommego skończyła się bezkrwawo. Zależało mi na walizce, a nie na życiu Geheimrata. Wreszcie usłyszeliśmy lekki szelest liści w krzewach parkowych, który wydawał mi się łoskotem. To wrócił Ommy z walizką w ręce. Puściliśmy w ruch automobil. Pędziliśmy jak szaleni do miasta. W automobilu Ommy opowiadał szczegóły sceny w gabinecie twego męża. Zasłoniłem rękami uszy, aby nie słyszeć jego opowiadania. Tak przybyliśmy do biur naszego przedstawicielstwa. Tam oczekiwał nas doktór Hiwi. Wręczyłem mu niebezpieczny bagaż. Tej tragicznej nocy odmówiłem wszelkich wyjaśnień. Włóczyłem się po lokalach nocnych Berlina i piłem, by stłumić rozstrój nerwów. Dopiero następnego

dnia opowiedziałem japończykowi wszystkie szczegóły mego śledztwa, aż do przejść ostatniej nocy. Opowiadałem mu i o tobie. Doktor Hiwi rozpoczął natychmiast badania nad bakterjami. „C u i b o“ Ja rzuciłem się do dalszych poszukiwań nad wynalezieniem składów bandaży i waty, nasyconych „C u i b o“, które na szczęście nie doszły już do mojej ojczyzny. Moje gorączkowe poszukiwania okazały się jednak daremne, a i praca dr. Hiwi natknęła na trudności. Dla rozwiązania tej tajemnicy musieliśmy jeszcze raz posłać Ommy'ego do gabinetu Geheimratha Teitelberga. W czasie tej nocnej wizyty natknął się on w gabinecie twego męża na Haunera, który chciał ukraść pieniądze. Rozpoczęła się walka zakończona śmiercią złodzieja...“

Raszczyc urwał, pot spływał cienką strugą po jego bladej twarzy. Widać było, że opowiadanie wyczerpało zupełnie jego siły fizyczne. Zasłonił oczy ręką, jakieś drgawki nerwowe przebiegały przez jego ciało. Długa chwila upłynęła, zanim uspokoił się i mógł opowiadać dalej o wysiłkach lekarza japońskiego i swoich w celu zapobieżenia katastrofie. Niestety, siły ich były za słabe a tajemnica przechowywana przez Geheimratha zanadto wielka, by móc podjąć sprawie. Wreszcie wybuchły tragiczne wypadki, których i ona była świadkiem. Przedstawiał jej w tragicznych słowach, jak wielkie przestępstwo



ciężyło na sumieniu jej męża, a cięży do tej chwili na Joe Teitelbergu z Augsburga. Gdy skończył, spojrzął na swą przyjaciółkę.

Pani Luiza siedziała bez ruchu. Ręce jej zwisały bezwładnie poza poręcz fotela. Zdawało się, że omdlała. Długą chwilę trwało przygnębiające milczenie, które mącił tylko przyspieszony chrapliwy oddech Raszczyca.

— Czy nie masz Luizo mi nic do powiedzenia? — spytał wreszcie cicho.

Nie poruszyła się. Wtedy podbiegł do niej, ukląkł przed fotelem i całował jej zimną dłoń. Otworzyła oczy, spojrziała zalekniona, jakby patrzyła na kogoś obcego. Z rozpaczliwą namietnością przytulił twarz do jej kolan i całował jedwab jej sukni.

— Zrozum, — błagał, — że nie jestem stworzony na zbrodniarza. Kocham ciebie każdą komórką mego serca i mózgu... Bez ciebie nie wyobrażam sobie dalszego życia. Pomyśl, że zniszczyłem tylko zbrodniarza i jego piekielne plany... Zrozum, że tak samo, jak kocham ciebie, kocham swój kraj, który własną krwią broniłem przed nieprzyjacielem. Nie mogłem dopuścić do zniszczenia swojej ojczyzny....

Widziała ślady jego łez na sukni. Coraz spazmatyczniej obejmował jej kolana, jakby obawiał się, by go nie odtrąciła.

Pani Luiza wyswobodziła się z objęć przyjaciela, wstała i chciała przejść przez pokój. Siły jednak odmówiły jej. Poruszała ustami, jakby chciała coś powiedzieć.

— Czy przebaczysz mi? — pytał Raszczye z rozpaczą w głosie.

Spojrzała na niego ze współczuciem, ale potem cicho, ale niezwykle stanowczo szepnęła:

— Nie pytaj mnie teraz o to. Odejdź stąd. Teraz nie mogę dać ci odpowiedzi... Mam wrażenie, że myśli rozsadzają mi czaszkę... To okropne, co mi opowiedziałeś... Proszę cię odejść... Przyjdź jutro... Dam ci odpowiedź...

Nie nalegał dłużej. Wstał z klęczek zgnębiony i złamany, tylko oczami prosił, aby nie kazała mu odchodzić. Ale ona coraz natarczywiej żądała, by zostawił ją samą. Wyszedł z pokoju cicho, spokojnie, a kroki jego były chwiejne jak chód starca.

Gdy kładł już rękę na klamce, pani Luiza chciała go przywołać, bo nagle żal jej się zrobiło tego człowieka, który przecież ją kochał. Całym wysiłkiem woli musiała powstrzymać słowo współczucia.

Wyszedł. Skierował się jak lunatyk na schody. Potem szedł przez ulice Warszawy, aż dotarł do Alei Ujazdowskiej. Wiatr uderzał w jego pobladałą twarz, mierzwił mu kosmyki włosów. W Alei Ujazdowskiej usiadł na ławce.

Siedział nieruchomo, nie mogąc opanować chaosu myśli i obrazów, które wirowały mu w mózgu.

— Jutro rozstrzygnie się... — szeptał pół-przytomny.

Na ciemnym tle nieba znaczyły się już jasne smugi światła, gdy wstał z ławki i szybkim krokiem, jakby go goniły jakieś wizje, skierował się do swego mieszkania. W ciepłym pokoju siły opuściły go zupełnie. Był tak wyczerpany, że bezwładnie osunął się w ubraniu na łóżko i zdawało mu się, że zamiast powiek ma żarzące węgle na oczach.

— Jutro rozstrzygnie się wszystko, — szepnął jeszcze raz, a potem czuł, że zapada w czarną otchłań.

Było południe, gdy służący zbudził go z kamiennego snu. Wstał szybko i z lękiem przypomniał sobie przejścia wczorajszego dnia. Spojrzał w lustro i przeraził się swojej twarzy. Pod oczyma znaczyły się głębokie cienie. Skronie jakby wybielały zupełnie. Szybko zaczął się ubierać. Za godzinę popchnął już szklany kołowrót u wejścia do hotelu „Bristol“. Kazał się szybko zameldować u baronowej.

— Pani baronowa wyjechała dziś z Warszawy, — poinformował go uprzejmie portjer. Kazała panu doręczyć ten list.

Raszczyc rozerwał szybko kopertę. Pani Luiza pisała:

„Przeżyłam straszną noc. Staralam się wszystko tłumaczyć na twoją korzyść. Niestety, widok zamordowanego, tak, jak widziałam go wtedy przykrytego gobelinem na otomanie, przytłaczał wszystko... Tej krwawej wizji nie mogłam się wyzbyć do białego świtu... W imię dobrych chwil, które przeżyliśmy razem, nie staraj się zobaczyć ze mną... Może czas uleczy wszystko...

Luiza Teitelberg.“

Olbrzymi hall hotelowy zawirował i zakręcił się w oczach Raszczyca. Musiał chwycić się krzesła, aby nie upaść. Bezmyślnie schował list do kieszeni. Potem niepewnym krokiem wyszedł z hotelu na ulicę. Portjer patrzył zdziwiony na niego, nie mogąc wytłumaczyć sobie nagłego osłabienia.

Raszczyca wyszedł na ulicę, porwany wkrótce przez tłum przechodniów ulicznych...

K O N I E C.

WYDAWNICTWO POLSKIE POZNAŃ

---

F. A. OSSENDOWSKI

## ORLICA

Temperament powieściopisarski, podziwiany nieraz w książkach podróżniczych autora „Niewolników słońca” — przebija w całej pełni w tej opowieści, której treścią dzieje serca góralki murzyńskiej Azizy, walczącej o miłość i o męża w górach marokańskich. Niby film egzotyczny przewija się akcja wśród dziwów czarnego życia: zaklinacze wężów, czarownicy murzyńscy, poszukiwacze skarbów i sponiewierana wpośród tego za swą wierną tęsknotę — orlica.

---

KAŻDY TOM 3 ZŁOTE

171

WYDAWNICTWO POLSKIE POZNAŃ

---

A. CONAN DOYLE

## PIES BASKERVILLE'ÓW

PRZEKLAD AUTORYZOWANY  
BRONISŁAWY NEUFELDÓWNY

Jeśli o której to o tej chyba powieści Conan Doyle'a zostanie pamięć w historii literatury. Od niej bowiem zaczęła się światowa sława Szerloka Holmesa. Romanse detektywistyczne mnożyły się jak grzyby po deszczu, a mimo to „Pies Baskerville'ów“ pozostał zawsze na ich czele jako utwór w tej dziedzinie klasyczny. A przytem spolszczony znakomicie przez doświadczoną tłumaczkę.

---

KAŻDY TOM 3 ZŁOTE

WYDAWNICTWO POLSKIE POZNAŃ

---

---

ALEKSANDER BŁĄŻEJOWSKI

## WALIZKA P. Z.

Wstępny bojem zdobył Błażejowski czołowe miejsce w naszej ubogiej oryginalnej literaturze sensacyjnej. „Walizka P. Z.“, drukowana w odcinku jednego z najpoczytniejszych pism codziennych potwierdziła w zupełności nadzieje przywiązywane do talentu autora „Czerwonego błazna“. Nawet wybredny bardzo czytelnik zaciekaWi się węzłem intrygi niesłabnącej od początku do końca i uzna, że zwartością sensacji dorównywa „Walizka“ najlepszym powieściom kryminalnym literatury świata.

---

---

KAŻDY TOM 3 ZŁOTE

173

WYDAWNICTWO POLSKIE POZNAŃ

---

---

ALEKSANDER BŁAŻEJOWSKI

TAJEMNICA  
DOKTORA HIWI

(„WALIZKI P. Z.” CZĘŚĆ II-ga).

Berlinowi grozi zagłada. Zawartość morderczej walizki zwróciła się przeciw Niemcom. Jeśli pomoc na czas nie zdąży, zginą nie tylko wszyscy nasi znajomi, a więc księżę Strogow, (i nie dowiemy się kim był w istocie) i pani Teitelberg i stary Blindow, ale cała Europa. A wtedy pojawia się tajemniczy, uśmiechnięty, wszystko wiedzący Japończyk...

*16. pos.  
21. X. 53f*

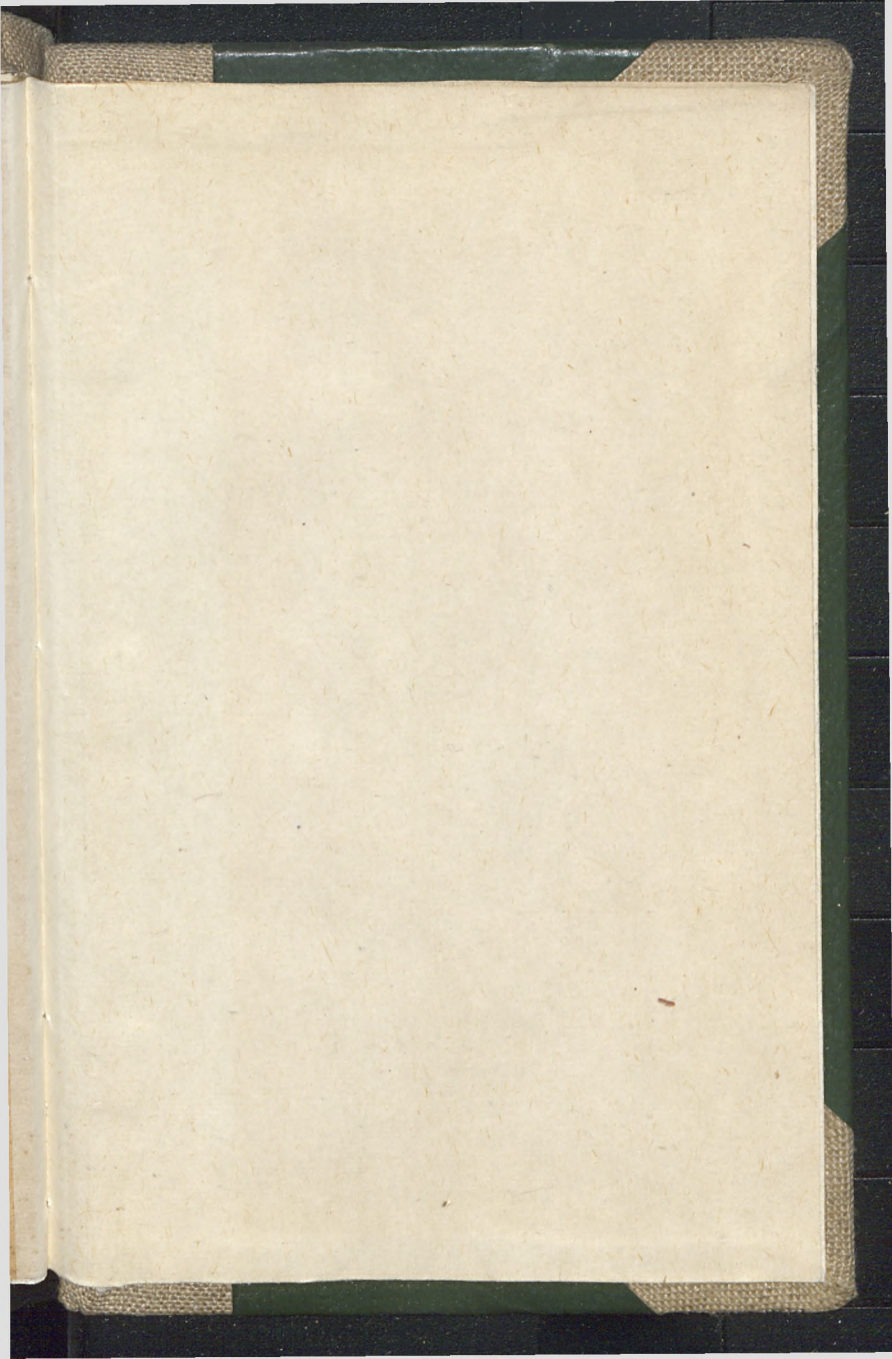
---

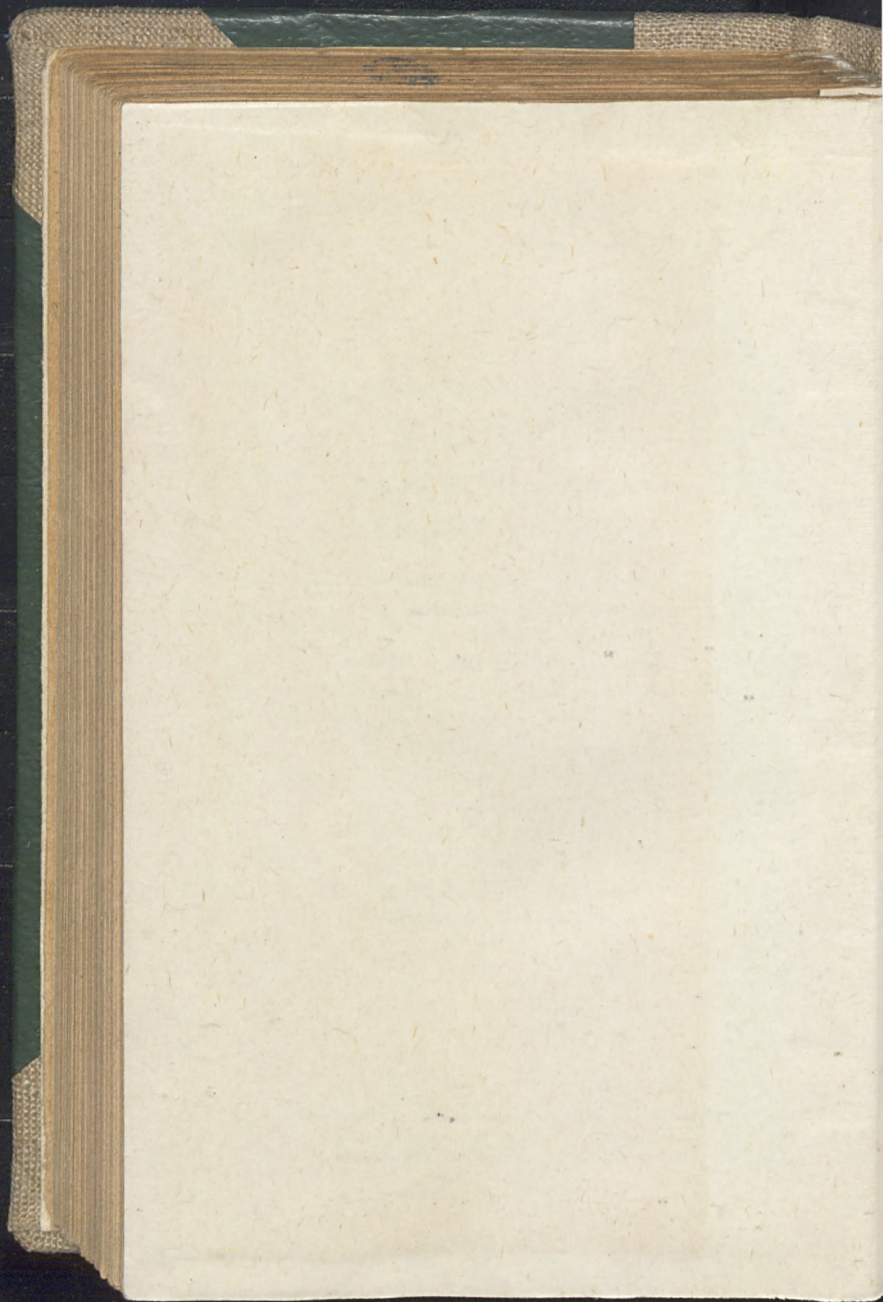
---

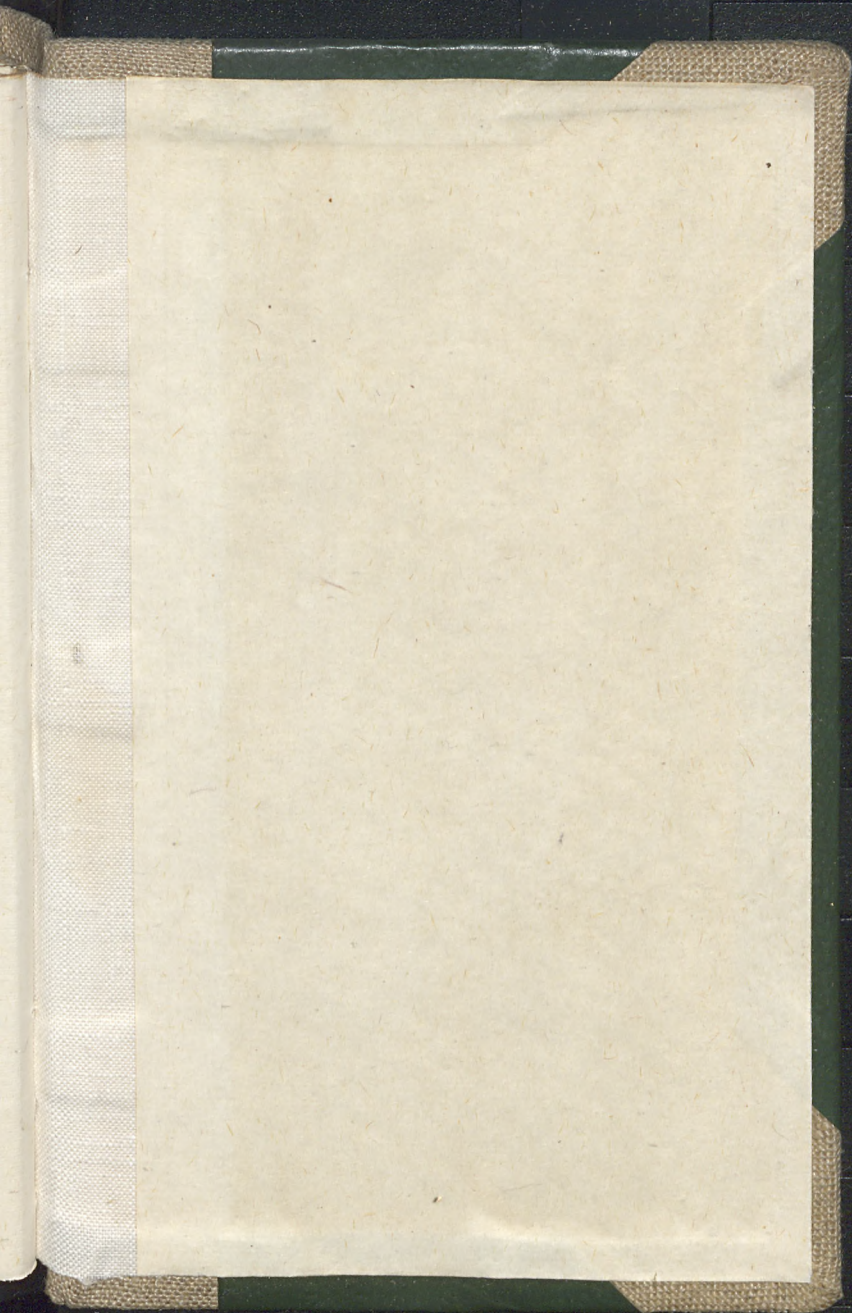
KAŻDY TOM 3 ZŁOTE *2/5*













141561

---

---

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001005062098